

DIALOG

pheniben

nr 10 KWIECIEŃ-MAJ-CZERWIEC 2013

☀ **TABU** Z jej gardła wydobywa się niskie świstanie. Ptaki reagują natychmiast. Patsy rwie palcami niczym szczypcami wątrobę i podrzuca wysoko w górę. Orły chwytają kawałki w locie. A gdy to się nie udaje, pikują i zgarniają szponami ochłapy z ziemi ☀ **FOTOREPORTAŻ** Arlija i Gyftoi. Jest ich od 140 tysięcy do 200 tysięcy. Albo raczej 200-300 tysięcy. Nie, może lepiej: 80-350 tysięcy. Właściwie to nie wiadomo. Życie mają nielekkie. (...) Romowie w Grecji... Czy znają szczęście? ☀ **KULTURA** Dwa stosy cegieł symbolizujące łóżka ustawione są w dokładnie takiej samej odległości, jak w pomieszczeniach sypialnych sierocińca, w którym Balogh spędził dzieciństwo; przywołują na myśl opuszczony pokój dziecięcy ☀ **SPOŁECZEŃSTWO** Domofon przy drzwiach wejściowych, kwiaty na dole schodów, dziecięce rowery ustawione wzdłuż balustrady: o czystość dba Estera, żona Visca ☀ **HISTORIA** Pan chciał zażartować z głodnego Cygana i przy stole, na którym leżało smażone prosię, powiedział: „Co ty najpierw zrobisz prosiakowi, to ja ci to samo zrobię, a wtedy będziemy jeść”. Cygan pocałował prosiaka pod ogonkiem i powiedział: „Ano, Panie i mnie tak!”

☀ **CIEMNA STRONA ŻYCIA** ☀ Jerzy S. Wasilewski Str. 10-17 ☀ A poza tym nic na działkach się nie dzieje. ☀ Michał Kowalski Str. 94-104 ☀ **MIGAWKI Z ZAKAZANYCH ŚWIATÓW.** ☀ Aleksandra Pawlicka Str. 38-45 ☀ Grecja, 2000. ☀ Nikos Economopoulos Str. 58-71 ☀ **JAZZ ROM.** ☀ Ryszard Wojciul Str. 86-87 ☀ Rybka na dłoni. ☀ Magdalena Machowska Str. 20-27

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Redaktor Dariusz Fedor
Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek
Korekta Grażyna Kwiek
Koncepcja kwartalnika, projekt graficzny,
fotoredakcja i produkcja Dominique Roynette, Piotr Wójcik
Fundacja OPOWIEDZ TO - PICTURE THIS
Przygotowanie fotografii do druku Mariusz Glejzer
Drukarnia Colonel, Kraków
Finanse Renata Mucha

Wydawca STOWARZYSZENIE ROMÓW W POLSCE
ul. Berka Joselewicza 5
32-600 Oświęcim
tel./faks: 033 842 69 89
stowarzyszenie@romowie.net
www.stowarzyszenie.romowie.net



Kontakt
www.dialog-pheniben.pl
redakcja@dialog-pheniben.pl
Znajdź nas na Facebooku

Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra
Administracji i Cyfryzacji



Człowiek - najlepsza inwestycja!

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej
w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

DIALOG pheniben

Kwartalnik Stowarzyszenia Romów w Polsce

Romska Poczta Kingi Orzeł-Dereń 6-7

TABU

Ciemna strona życia. Jerzy S. Wasilewski 10-17

Rybka na dłoni. Magdalena Machowska 20-27

Krótką historią zabijania tabu. Paulina Wilk 30-35

Migawki z zakazanych światów.

Aleksandra i Jacek Pawliccy 38-45

Ona. Z Karoliną Stankiewicz-Kwiatkowską
rozmawia Aleksandra Pawlicka 48-56

On. Z Karolem Kwiatkowskim rozmawia Jacek Pawlicki 49-57

FOTOREPORTAŻ

2013, Grecja. Nikos Economopoulos 58-71

KULTURA

Tibor Balogh pierwszy „artysta oficjalny”. Timea Junghaus 74-81

Dziewczyna z tęczą. Tomasz Kobylański 82-85

Warto posłuchać. Poleca Ryszard Wojciul 86-87

SPOŁECZEŃSTWO

Misja: eksmisja. O demagogii w polityce lokalnych władz
w Europie wobec Romów. Tommaso Vitale 88-93

A poza tym nic na działkach się nie dzieje.

Michał Kowalski, Adam Lach. 94-104

HISTORIA

Cygan i słońcem kręci. Jurij Siłecyj. 108-110

TU NAS SZUKAJCIE

Białystok: Kawiarnia Labalbal, ul. Warszawska 21 lok. 3; **Gdańsk:** Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, ul. Targ Rakowy 5/6; **Kielce:** Stowarzyszenie Jana Karckiego, ul. Paderewskiego 40; **Nowy Sącz:** Małopolskie Centrum Kultury Sokół, ul. Długosza 3; **Oświęcim:** Centrum Dialogu i Modlitwy, ul. Kolbego 1, Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, ul. Legionów 11, Centrum Żydowskie, pl. Jana Skarbka 5; **Warszawa:** Dom Spotkań z Historią, ul. Karowa 20, Księgarnia Instytutu Reportażu Wrzenie Świata, ul. Gałczyńskiego 7



„Dialog-Pheniben”
to pismo bezpłatne.
Możecie wesprzeć
kwartalnik,
zasilając konto:
67 1240 4155 1111 0010
4015 9291
Nawet niewielka wpłata
pomoże nam się
rozwinąć. Dziękujemy!



Chyba każdy z nas choć raz w życiu chciał spróbować, jak smakuje zakazany owoc. Przekraczanie granic, obowiązujących norm, zdobywanie i próbowanie tego, co trudno dostępne, wydaje się tak ekscytujące, że na drugi plan schodzi refleksja o konsekwencjach. Bo przecież zakazany owoc smakuje najlepiej. I to właśnie dlatego, że jest zakazany. Pokusa bywa tak silna, że przekraczamy granice, nie zważając na to, co stanie się potem. A jak było z Papuszą? Najbardziej znana romska poetka, niezwykle wrażliwa kobieta została odrzucona przez swoich. Bo przekroczyła granice - złamała tabu. Jak do tego doszło? Czy była tego świadoma? Jak to wpłynęło na jej dalsze życie? Odpowiedzi na to pytanie szukała Magdalena Machowska w artykule pt. „Rybka na dłoni”. Czasem zastanawiam się, jak potoczyłyby się losy Papuszy, gdyby żyła teraz. Czy jej talent doceniliby Romowie? Czy znów uznaliby ją za skalaną? Przecież sami nieustannie przekraczają granice do niedawna nieprzekraczalne. Szukając kompromisu między tradycją a nowoczesnością, muszą ocierać się o sferę, która była tabu.

Dzisiaj tak zwane tradycyjne wartości podlegają redefinicji.

Jak odnajdują się w tym ci, którzy muszą funkcjonować w dwóch światach? Aleksandrze i Jackowi Pawlickim opowiadają o tym Karolina Stankiewicz-Kwiatkowska i Karol Kwiatkowski.

W tym numerze „Dialogu-Pheniben” piszemy również o romskich imigrantach z Rumunii, którzy zamieszkali na działkach w centrum Wrocławia. Ta sprawa budzi wiele emocji, spotyka się ze skrajnymi ocenami. Ale dlaczego właściwie dopiero teraz mówi się o Romach z Rumunii, którzy we Wrocławiu są już od lat? Kto i z jakiego powodu działa niezgodnie z prawem? Próbował odpowiedzieć na te pytania Michał Kowalski w reportażu pt. „A poza tym nic na działkach się nie dzieje”.

Gorąco polecam również artykuł Pauliny Wilk pt. „Krótką historią zabijania tabu”, w którym pisze o tym, jak przesuwała się i wciąż przesuwa się granica tabu we współczesnej kulturze Zachodu. Warto zwrócić uwagę na fotoreportaż. Życie Romów w Grecji utrwalił na czarno-białych fotografiach Nikos Economopoulos. Zapraszam do „Dialogu-Pheniben”!

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

KWIECIEŃ**Kanada****Sun News to kanał**

Demonstracja Kanadyjskiego Centrum Społeczności Romskiej w Toronto przed Komisją Radia i Telewizji. Chodzi o sięjący nienawiść do Romów „show” nadawany w kablowej telewizji Sun News. Romowie chcą, by Komisja odrzuciła plan wpuszczenia tego kanału na antenę ogólnokrajową. Kontrowersyjny program prowadzi konserwatywny polityk Ezra Levant. Raczy on swoich odbiorców m.in. takimi przemyśleniami: „Cyganie (...) przyszli tu, żeby nas ocyganić, okraść bez pardonu... Cyganie nie są rasą, nie są religią, nie są też grupą językową.

Są średniowiecznym prototypem ruchu okupującego Wall Street, bezradną grupą włóczęgów, która nie wierzy w prawa własności. Ze swojego punktu widzenia są nomadami, z punktu widzenia innych to złodzieje. Teraz ta plaga dotarła do Kanady. Pod przykrywką fałszywych uchodźców w ciągu ostatnich pięciu lat z Węgier przybyło ich ponad 5000”. Wydaje się, iż Levantowi umknął fakt, że Kanada to kraj o rodowodzie imigracyjnym i, pomijając autochtonów, „prawdziwi Kanadyjczycy” też

musieli tam, jak to określił, dotrzeć. Dobrze, że Kanadyjskie Centrum Społeczności Romskiej organizuje protest, zbiera podpisy, chce wykrzyknąć głośno swój sprzeciw i pokazać członkom Komisji Radia i Telewizji, że mowa nienawiści i rasizm nie mogą być tolerowane w przestrzeni publicznej. Niepokoi jednak to, iż członkom wspomnianej komisji trzeba wskazać popartą liczbą podpisów jedyną i oczywistą prawdę, że nietolerancja i rasizm to zło.

Węgry**Pedagog pozał się Boże**

Na wniosek Zoltána Baloga, ministra zasobów ludzkich na Węgrzech, zwolniono nauczyciela z Konyár, który podczas oficjalnego wystąpienia w Ęrpatak publicznie ubliżał swoim uczniom pochodzenia romskiego. Wideo ukazujące nauczyciela wzywającego do stosowania kar cielesnych oraz innych radykalnych zasad wychowawczych w stosunku do romskich dzieci zostało umieszczone w serwisie YouTube w styczniu 2013 roku. Po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego nauczyciel został zwolniony ze skutkiem natychmiastowym. W uzasadnieniu decyzji podkreślono, że w edukacji nie ma miejsca na ekstremizm.

Przypomniano o konieczności prowadzenia debaty dotyczącej konfliktów na linii Romowie - nie-Romowie, która nie będzie możliwa bez poszanowania godności osobistej innych, o czym - zdaje się - pan nauczyciel zapomniał. O innych przymiotach dobrego pedagoga, jak wyczuwanie na kwestie rasowe czy świecenie przykładem, nie wspomnę.

Serbia**Wysiedlenie to nie rozwiązanie**

Wiele rodzin romskich żyje w skandalicznych warunkach - bez prądu, sanitariatów i dostępu do bieżącej wody, a wszystko to rok po eksmisji z osady w Belgradzie. W 2012 roku około 1000 Romów zostało siłą eksmitowanych z koczowiska w pobliżu Belvil - zarejestrowanych w Belgradzie (prawie połowa z eksmitowanych) przesiedlono do metalowych kontenerów w mieście, a 133 rodziny romskie zmuszono do powrotu do poprzedniego miejsca zamieszkania. Przymusowe eksmisje odbywające się w Belgradzie są sprzeczne z międzynarodowymi standardami praw człowieka. Od kwietnia 2012 roku co najmniej 27 rodzin (101 romskich mężczyzn, kobiet i dzieci) zostało eksmitowanych z nieformalnych osiedli m.in. do osiedli kontenerowych. Rzecznik Praw Równouprawnienia uznał to za dyskryminację. Organizacje broniące praw człowieka nagłaśniają tę skandaliczną sytuację, wzywając serbskie władze do natychmiastowego wstrzymania przymusowych wysiedleń oraz do znalezienia pozytywnego, a przede wszystkim trwałego rozwiązania. Przykro stwierdzić, że w XXI wieku trzeba wzywać władze bądź co bądź europejskiego państwa do przestrzegania praw człowieka.

Nie ma „papieru”, nie ma problemu

W Niszu lokalne władze udostępniły trzem rodzinom „lokale mieszkaniowe” znajdujące się w opuszczonym magazynie. Władza, jak to władza, „się wyżywi”... A co do innych, to już ich sprawa; i tak rodziny musiały przeżyć trzy miesiące bez wody, a na dokładkę osiem miesięcy bez prądu. Ludzie ci nadal żyją w bardzo trudnych i urągających godności ludzkiej warunkach, niezgodnych z międzynarodowymi standardami odpowiedniego zakwaterowania alternatywnego. Ponadto żadna z rodzin nie otrzymała oficjalnego dokumentu regulującego ich pobyt, co w konsekwencji naraża je na kolejne eksmisje. Cóż, jak wiadomo, papier wszystko przyjmie, ale jak już przyjmie, to trzeba będzie się jakoś do niego odnieść, a tak: nie ma „papieru”, nie ma człowieka, przepraszam... problemu.

MAJ**Czechy****Sąd nad władzą**

Pozytywna decyzja Sądu Okręgowego w Ostrawie, który orzekł, że władze postąpiły niezgodnie z prawem podczas próby eksmisji Romów w 2012 roku. W sierpniu zarząd ostrawskich budynków dostarczył nakaz eksmisji właścicielowi domów zamieszkałych przez 40 rodzin romskich. Lokatorom dano nieco ponad 24 godziny na dobrowolne opuszczenie lokali. Ponad 140 Romów przez kilka miesięcy żyło w obawie o swoją dalszą przyszłość oraz w strachu przed zapowiadaną policyjną eksmisją, podczas gdy władze „wielkodusznie” oferowały im fatalnego standardu lokale



Niemcy, 60 twarzy Carmen. 60 romskich kobiet sfotografowanych z portretem Carmen decydowało, czy chcą pokazać twarz, czy wolą ukryć się za obrazem bohaterki opery Bizeta. Cykl 60 fotografii autorstwa Lidii Mirković i Dragana Vildovicia pt. „Dialog z Carmen” to jedno z ważniejszych wydarzeń Romskich Dni Sztuki Audiowizualnej. W ramach tej imprezy, która odbyła się 31.05-2.06 w Balassi Institute w Berlinie, członkowie International Romani Film Commission (IRFC) prezentowali twórczość własną i prace innych romskich artystów.

zastępcze oraz zakwaterowanie w wieloosobowych pokojach. Sąd uznał, że nakaz eksmisji był proceduralnie niepoprawny oraz nie był wystarczająco precyzyjny. Decyzja ta pokazuje, że władze publiczne nie mogą arbitralnie eksmitować ludzi z ich domów. Regionalny Sąd Apelacyjny uchylił ponadto karę finansową dla

właściciela budynków (prywatna firma) za zaniechanie eksmisji Romów. Sprawiedliwości stało się zadość! Hura!... Choć jak mawiał Arystoteles: „Prawdziwą sprawiedliwością jest przeżyć to, co się uczyniło innym”, czego jednak władzom Ostrawy nie życzymy.

Światowa premiera – „Dialog-Pheniben” w wersji mobilnej na i-pada!

Z satysfakcją informujemy, że w lipcu nasz kwartalnik w tłumaczeniu angielskim będzie dostępny w wersji mobilnej poprzez aplikację App Store. Zachęcamy do czytania zarówno „analogowej”, jak i mobilnej wersji.

Najnowsza publikacja Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej

Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała się książka autorstwa redaktor naczelnej kwartalnika „Dialog-Pheniben” Joanny Talewicz-Kwiatkowskiej pt. „Wpływ aktywności finansowej Unii Europejskiej na położenie społeczne Romów w Polsce”. W kolejnym numerze „Dialogu” zamieścimy obszernie fragmenty książki oraz jej recenzję.

TABU

Nieczystość

Stłumienie

Unikanie

Zmaza

**Zakaz
magiczno-religijny**

Skalanie

Zbrukanie

Grzech

Wykluczenie

Prohibitum

Tabu...

Ciemna strona życia

☀ Są rzeczy, których robić nie wolno, bo tak chciał Bóg, tak było zawsze, tak postanowili przodkowie.

☀ To tabu

Jerzy S. Wasilewski

Istnieje wiele słów odnoszących się do tej sfery ludzkiego życia, która znajduje się niejako na odwrocie czy poza marginesem naszej normalnej egzystencji. A jeśli chcieć jeszcze zgromadzić ich specyficzne odpowiedniki w różnych językach, takie jak romskie *mageripen* albo *magerdo* (tłumaczone niekiedy na polski przez Romów jako „wygar-dzanie”), to lista nie miałaby końca. Wszystkie takie słowa, dla których termin „tabu” niech będzie hasłem wywoławczym, wskazują na ciemną stronę życia, na to, co niedopuszczalne, zabronione, zmarginalizowane, przejmujące niejasnym lękiem czy wstydem, krótko mówiąc - wyłączone z normalnego użytku. Określają one granice, w obrębie których wolno poruszać się członkom danej społeczności pod rygorem wyrzucenia poza jej nawias.

☀ Nie wolno - dlaczego

Ale: stop. Muszę jednak zacząć inaczej - od przestrogi: trudna to tematyka, a trudności mają tu wieloraki charakter. Trzeba będzie wyjść poza obszar tego, co uznajemy za oczywiste, bo jest dla nas racjonalne, bo dowiedzione rozumem i praktycznie sprawdzalne. Kiedy mówimy dzisiaj o tabu, to mamy na myśli zakazy pozostające w pewnej sprzeczności z rozumem, który nie znajduje dla nich prostego wyjaśnienia. Zakazy magiczne albo przekonania i wyobrażenia na temat skalania (rytualnej nieczystości) leżą poza obszarem łatwej do wytłumaczenia praktyczności i w tym sensie są

wręcz obelgą dla rozumu, a w każdym razie są dla niego wyzwaniem. Nie jesteśmy przecież skorzy - my, ludzie nowocześni - do przyjmowania na wiarę kategorycznych, arbitralnych formuł, które czegoś zabraniają, a wcale przy tym nie wyjaśniają powodów - nie tłumaczą logicznie, racjonalnie i przekonująco, dlaczego nie wolno.

Nasza liberalna epoka pozwala na bardzo wiele, a kiedy już nakłada jakieś ograniczenia, to ma do tego rozumne powody (tak nam się przynajmniej zdaje). Te sensowne uzasadnienia odwołują się do racji ekonomicznych, społecznych albo praktycznych. Kiedy zakazy dotyczą przejeżdżania na czerwonym świetle, przechodzenia przez trawnik albo palenia papierosów w miejscach publicznych, to w zasadzie nie kwestionujemy ich sensowności (choć możemy uskarżać się na ich dolegliwość, na nieadekwatność do konkretnej sytuacji itp.). Natomiast kiedy dowiadujemy się, że w innych, obcych społeczeństwach, np. tych egzotycznych, albo w dawnych kulturach (a niekiedy i w naszej własnej) tak wiele rzeczy jest lub było zakazane, wykluczone czy potępione bez jakiegos zrozumięcia dla nas dzisiaj praktyczno-racjonalnego wyjaśnienia, to mamy kłopot z zaakceptowaniem takiej sytuacji. Nie przekonują nas przecież motywacje: „bo tak było zawsze”, „bo tak postanowili przodkowie”, albo groźba ponadnaturalnych sankcji - wiara w jakąś boską karę za złamanie danego zakazu czy złowrogie magiczne konsekwencje jego naruszenia.

Nie potrafiąc sobie wyjaśnić takiego wierzenia czy zakazu, nadajemy mu miano „tabu”, które samo w sobie jest niewytłumaczalne, a przynajmniej enigmatyczne. Swoją obcością i pewną ciemną głębią sugeruje, że jest przybyszem z jakichś bardzo odległych od nowoczesności krain. Pociąga za sobą niejednoznaczne odruchy emocjonalne (respekt, wręcz strach, ale i odrazę), co znaczyłoby, że chodzi tu o jakiś niezwykły składnik ludzkiej natury, jej rdzeń czy opokę; coś, co jest słuszne i zasadne, mimo że zarazem nieracjonalne. I właśnie ta irracjonalność jest rękomią trwałości tabu: strach naruszać mechanizm, którego nie potrafi się wyjaśnić.

A przecież nadal odczuwamy potrzebę jego uzasadnienia, wytłumaczenia. Taką konieczność zrozumienia mają wszyscy, którzy stykają się z niejasnymi, nieoczywistymi regułami kulturowymi, a szczególnie ludzie zawodowo poświęcający się refleksji nad kulturą i obyczajami - etnografowie, etnologowie, antropologowie (różne słowa będą tu oznaczać zasadniczo te same postacie). I laicy, i akademicy stoją przed tym samym problemem i popełniają te same błędy. Mamy np. tendencję do doszukiwania się, zupełnie niepotrzebnie, na siłę, uwarunkowań praktycznych albo ekonomicznych, nie wykazując zrozumienia dla motywacji o charakterze duchowym, wierzeniowym, symbolicznym. Oduczyliśmy się bowiem rozumienia przekazów symbolicznych, nieczytelna jest dla nas ta całościowa wizja świata, jaka zawarta jest w tekstach o charakterze mitycznym.

☀ Nie wolno - czego

Kolejny kłopot to różnorodność kontekstów takiej, ogólnie mówiąc, tabuizacji i wielość form, w jakich występuje ona na całym świecie. Pierwszym z brzegu przykładem niech będą istniejące w wielu kulturach zakazy dotyczące pożywienia, a konkretnie zakazy spożywania pewnych pokarmów, w

tym zabijania i jedzenia mięsa wybranych zwierząt. Czy u ich podłoża leży - albo leżało kiedyś, dziś zapomniane - przekonanie o świętości zabronionych zwierząt lub roślin (np. jako totemicznych przodków danej grupy), czy też przeciwnie - przeświadczenie o ich nieczystości? A jeśli mówi się o nieczystości, to czy jest to sformułowanie obciążone jakimś duchowym potępieniem (jak chrześcijański „grzech”), czy raczej trzeba je rozumieć jako wyłączenie, u podłoża którego leżą inne, pozareligijne motywy, np. złe skojarzenia o charakterze magiczno-symbolicznym albo starodawna ukryta wiedza, jakaś wpływająca z głębi wieków mądrość przodków na temat szkodliwości danego pokarmu?

Poważną rolę może tu odgrywać uczucie odrazy czy obrzydzenia - człowiek ma ograniczoną tolerancję na brud i nieczystość. Budzi w nim lęk manifestowanie fizjologii - ujawnianie tych wszystkich bebeczków, które na ogół są wygodnie przykryte warstwą skóry, kojarzy się ze śmiercią i chorobą. A może nie jest to żadne tabu, tylko po prostu uznaje się coś za niejadalne; nie uważamy za pokarm i dlatego nie jemy psów albo larw, albo kory z drzew, choć w innych częściach świata lub w innych okolicznościach mogą one być spożywane.

Warto zacząć od uporządkowania terminów. Kluczowe słowo „tabu”, które samo w sobie przysparza sporo kłopotów, jest przybyszem z dalekiej Polinezji, przywiezionym stamtąd przed ponad dwustu laty przez kapitana Jamesa Cooka. To tam europejscy żeglarze zetknęli się z tym terminem, używanym dla wyjaśnienia sytuacji nie całkiem dla nich jasnej: oto np. wódz, zaproszony na pokład okrętu i poczęstowany tam angielską herbatą, po jej wypiciu rozbijał filiżankę o pokład, wyjaśniając, że stawała się ona *tabu* (albo *tapu*).

Słowo to najwyraźniej działało na wyobraźnię. Najpierw zrobiło błyskawiczną karierę w angielszczyźnie, z której szybko weszło w obieg w bodaj wszystkich językach europejskich. Przyjęło się też w wielu innych językach świata, łącznie z chińskim i japońskim, uzupełniając lub wypierając wcześniejsze formy lokalne.

Mimo swego egzotycznego rodowodu wyraz ten jest używany (i nadużywany) w dzisiejszym języku potocznym, przy opisie takich naszych współczesnych postaw, w których pojawia się niewytłumaczalne unikanie, nie całkiem wyjaśniony lęk. Widocznie ma on w sobie pewną tajemniczość, która dodaje mu atrakcyjności, skoro tak chętnie korzystają z niego media masowej komunikacji. Tym samym słowem-ostrzeżeniem będą opatrzone rzeczy najróżniejsze, nawet przeciwstawne. Z jednej strony tabuizowane jest to, co święte i szacowne, z drugiej - co nieczyste i niestosowne. Przykłady można mnożyć: wszelkie poruszanie tematów wiążących się z seksualnością i cielesnością, ale też mówienie o czyichś zarobkach, naruszanie patriotycznych świętości, wyciąganie brzydkich sprawek rodzinnych, mówienie o chorobie czy śmierci, wyłamywanie się z przyjętych form etykiety i szacunku - we wszystkich takich sytuacjach mówi się o tabu i jego pogwałceniu.

A zatem tabu to zakaz chroniący przed naruszeniem zarówno sfery świętości i wysokich wartości, jak i tego wszystkiego, co prywatne, intymne, wstydlive, a wreszcie izolujący nas przed tym, co zostało uznane za skalane, nieczyste.

Jerzy S. Wasilewski
- doktor habilitowany,
profesor Uniwersytetu
Warszawskiego, pracownik
Instytutu Etnologii i
Antropologii Kulturowej
UW. Opublikował m.in.
„Podróże do piekieł: rzecz o
szamańskich misteriach”
(1979 i 1984) oraz
monumentalną monografię
pt. „Tabu” (2010).

Nie wolno - pod groźbą

Kolejna komplikacja dotyczy właśnie tego, jakie konsekwencje grożą w przekonaniu ludzi przestrzegających danego tabu za jego naruszenie. Dawnym zakazom towarzyszyło często przeświadczenie, że sankcja (kara) za ewentualne przekroczenie będzie mieć charakter magiczny: niemal automatycznie zadziała nadnaturalna moc, rażąca śmiałka jak prąd elektryczny - natychmiast, i to niezależnie od tego, czy naruszenie było zawinione czy przypadkowe. Tak pisał o tym religioznawca Gerardus van der Leeuw: „Tabu jest pewnego rodzaju ostrzeżeniem: »Uwaga! Wysokie napięcie! Tu nagromadziła się moc i trzeba się mieć przed nią na baczności!« [...] Naruszenie tabu nie pociągało za sobą kary, lecz automatyczną reakcję mocy. [Moc] po prostu reaguje jak prąd elektryczny, który uderza tego, kto nieopatrznie dotknie przewodu znajdującego się pod napięciem”.

Tym właśnie odróżniałoby się myślenie w kategoriach magicznych („to coś jest tabu”) od myślenia w kategoriach religijnych („to jest grzech”). Popęlenie grzechu też pociąga za sobą karę, tyle że nie automatyczną, a elastyczną: zależną od postawy moralnej czy intencji sprawcy, możliwą do odkupienia czy prześlągania, a do tego z reguły odłożoną w czasie, np. doświadczaną pośmiertnie.

Skądinąd nie jest wcale sprawą jasną, na ile polinezyjskie tabu miało w przeszłości zawsze ów ładunek magiczny - nieuchronnej automatycznej skuteczności. Ten sam termin funkcjonował w różnych kontekstach, a nałożenie tabu mogło być religijnym zakazem wstępu do miejsc świętych, magicznym środkiem obrony przed skalaniem kobiecą nieczystością albo wreszcie socjotechniczną decyzją wodza, zastrzegającego w ten sposób dla siebie jakieś pożądane dobra. Z reguły wiązało się z nim uczucie lęku - zarówno przed sankcjami nadnaturalnymi, jak i przed okrutnymi nierzadko karami, nakładanymi (niezależnie od tych pierwszych) przez bezwzględnych wodzów.

Oto na przykład istniały obchody pewnych dni świątecznych z procesjami władców i kapłanów, których nie wolno było obserwować zwykłym ludziom; ogłaszano je wtedy w takich mniej więcej słowach: „Tabu - niech nikt nie opuszcza domu! Tabu - niech żaden pies nie szczeka! Tabu - niech żaden kogut nie pieje! Tabu - niech żadna świnia nie chrząka! Śpij - śpij, póki tabu nie minie!”. W zgodzie z tym zakazem obowiązywało pyski zwierzętom domowym, drób chowano pod misami, a cała społeczność, mówiąc przenośnie, wstrzymywała oddech - tak jakby przyczajęła się przed zapowiadającym zagrożeniem i wystrzegała przed dawaniem jakichkolwiek znaków życia.

Trzeba tu wyjaśnić, że w wielu kulturach święto, zwłaszcza kalendarzowe (doroczne, astronomiczne), niosło ze sobą nie tylko radosne świętowanie, ale też poczucie niepewności: w takich przełomowych momentach pojawiała się obawa przed kryzysem i niewiadomą przyszłością. To na tym tle rodziła się, wyrażana w języku symbolicznym, tendencja do pewnego zatrzymywania, zawieszania, powstrzymywania się. Trochę tak, jakby, mówiąc przenośnie, musiało na moment stanąć wahadło, zanim zacznie swym ruchem odmierzać następny odcinek czasu, do kolejnego zwrotu wyznaczanego przez następne święto.

Co ciekawe, ten element lęku czy tajemniczości, który wydaje się nam nieodłączną cechą tabu, wcale nie jest zawarty w jego nazwie. Etymologicznie rzecz ujmując, słowo „tabu” (*tapu*) jest terminem zupełnie „bezbolesnym”

- neutralnym, oznaczającym dosłownie „to, co mocno podkreślone, zaznaczone”. Samo w sobie nie zawierało ono zatem odniesień magicznych ani religijnych. Jeszcze dziś można zobaczyć na ogrodzeniach domostw rdzennych Hawajczyków napis *Kapu* (lokalny wariant fonetyczny ogólnopoli-nezyjskiego *tapu*); nie ma tu żadnych konotacji magicznych ani religijnych, albowiem znaczy to jedynie „wydzielone”, „wyłączone” - to, co prywatne, w odróżnieniu od tego, co ogólnodostępne, publiczne. Tym niemniej nie da się wykluczyć, że w pierwotnym użyciu element magiczno-religijny był jednak zawsze jakoś obecny - *tapu* było zastrzeżone przez bogów, dla bogów.

Nie wolno - wolno

Chcąc lepiej zrozumieć pojęcie tabu, warto zestawić je z jego zaprzeczeniem. Dobrego przykładu dostarczy tu język arabski i jego para terminów „haram”/„halal”. Oba mają charakter religijny i używane są w całym świecie islamu (bo to arabski jest językiem świętym, trochę tak jak kiedyś łacina w chrześcijaństwie); oznaczają odpowiednio to, co przez tę religię zabronione i co dozwolone.

W pierwszym rzędzie dotyczy to jedzenia. Z napisem „halal” zetkniemy się na wielu produktach żywnościowych, na szybach restauracji i sklepów spożywczych. Słowo to upewnia muzułmanina, że jedzenie jest - by użyć tu analogicznego słowa żydowskiego, zakorzenionego także w polszczyźnie - „koszerny”: rytualnie czyste, właściwe, prawidłowe. Jedzenie niedozwolone, tabuizowane, jest „haram”. To wręcz synonim tego, co „grzeszne”. Ale etymologicznie nie ma wcale w tym wyrazie jakiegokolwiek nieczystości. Określa się nim przecież także miejsca święte jako zabronione, nie w pełni dostępne, np. zamknięte dla innowierców. Tak jest nazywana ta część meczetu i jego otoczenia (różnie wyznaczana w różnych lokalnych tradycjach), gdzie nie mają oni wstępu. Podobnie nazywały się staroarabskie sakralne rezerваты na pustyni, gdzie nie wolno było polować, naruszać roślinności ani nawet ścinać przestępców; w tym wypadku „haram” to miejsca wydzielone, bo święte.

Tym samym mianem może być określany wszelki stan zawieszenia, wydzielenia i wyłączenia. Oto np. w okresie pielgrzymki do Mekki albo po złożeniu jakiegokolwiek przysięgi czy ślubowania wierny jest „haram” - uświęcony, poddany świętym prawom i obowiązkom, wyjęty ze zwykłego życia; po wywiązaniu się ze ślubów i powrocie do normalnego stanu jest już „halal”. Ale przecież ten sam źródłosłów posiada znane nam dobrze słowo „harem” - w ścisłym sensie wewnętrzna, kobieca i dziecięca część domostwa, do której może wejść tylko mężczyzna-gospodarz; tu nie pojawia się wcale ani znaczenie świętości, ani też nieczystości - chodzi po prostu o wydzielenie przed obcymi, do wyłącznego użytku przez swoich.

A zatem słowo „haram”, podobnie jak tabu, niesie w sobie zakaz przestrzegający przed wejściem w obszar niedozwolony z bardzo różnych, wręcz przeciwstawnych powodów: bo święty, albo wydzielony tylko dla swoich, albo nieczysty. Warto też pamiętać, że zarówno stanowi ono przestrożę przed popełnieniem „grzechu” czy „skalania”, jak i oznacza konsekwencję tego naruszenia - ów nieczysty, naganny stan „grzechu”, w którym znalazł się naruszytel. Dlatego w niektórych kontekstach słowo to trzeba tłumaczyć jako „zakazane”, a w innych jako „grzech”.

Mam nadzieję, iż na tym przykładzie udało się choć trochę odczarować nasze wyjściowe pojęcie „tabu”. Tak, jest w nim pewne poplątanie świętości i nieczystości, ale w jego rozumieniu pomaga odwołanie się do takich terminów, jak oddzielenie czy wydzielenie. Świętość jest zawsze „wydzielona”, ale nie każde wydzielenie musi być od razu święte; to przecież także wydalenie, bo „wydzieliny” to nieczystości, usuwane poza obręb naszego czystego świata.

Nie wolno - komu

Ale jakby tych komplikacji było mało, do tego spłotu zagadnień trzeba dołączyć jeszcze jeden aspekt - społeczny. Tabuizacja dotyczy przecież nie tylko wyobrazonego świata świętości. Może ona przekładać się na bardzo konkretne społeczne wykluczenie. Fizjologiczna nieczystość na wiele różnych sposobów bywa łączona z dyskryminacją społeczną. Być może leży wręcz u jej podłoża: właściwa człowiekowi odraza wobec produktów własnego i cudzego ciała, przejawiająca się w podziale otoczenia na to, co czyste i co nieczyste, jest przenoszona na grunt społeczny, gdzie jest dalej ideologicznie rozbudowywana. Nawet tak złożony układ hierarchizacji ludzi, jak indyjski system kastowy ma u swego podłoża te organiczne aspekty życia. Pokazał to Louis Dumont w swym klasycznym dziele na temat kast, pod znamienym tytułem „Homo hierarchicus”: im więcej styku z nieczystością organiczną ma dana grupa zawodowa (np. czyszciciele latryn, pracze, cyrulicy, garbarze), tym niższe jej miejsce w systemie kastowym; natomiast grupy wyższe, „czyste”, mają wręcz zakaz kontaktu z procesami organicznymi: nawet połknięcie własnej śliny może być traktowane jako hańbiące naruszenie.

Zastanawiająca, choć niejednoznaczna jest też relacja między skalaniem fizycznym a nieczystością społeczną. Czasem mamy tu niemal całkowitą odpowiedniość. Oto np. w grupach romskich nośnikiem skalania *mageripen* (też *magerdo*, *mahrime*, *marime*) jest zarówno kontakt z dolną połową ciała (szczególnie kobiecego, z jego wszelkimi produktami i częściami ubioru), jak i społeczne naruszenie kodeksu własnej grupy, ujawnienie jej tajemnic na zewnątrz, ożenek z osobą spoza tej społeczności itp. Zakorzeniona w fizjologii i cielesności para pojęciowa góra (czysta) - dół (nieczysty) ma zatem przełożenie na społeczne dychotomie: wewnętrzny - zewnętrzny, swój - obcy.

Ten sam termin, oznaczający skalanie powstałe w wyniku naruszenia, jest zarazem oznaczeniem sankcji społecznej. Tak jest z wyżej wymienionymi romskimi słowami, oznaczającymi zarówno stan nieczystości, jak i następujące w jego konsekwencji wykluczenie, wydzielenie społeczne. Na równi z tabu czy haram trzeba je odczytywać jako groźbę i mocną przestrożę, że to naruszenie ma szczególne konsekwencje religijne i/lub społeczne. Pewnie nieprzypadkowo zatem spolonizowana forma terminu „magerdo”, a mianowicie „wygardzanie”, nawiązuje brzmieniowo do wzgardy, pogardy - uczucia, jakie żywi się wobec ludzi, którzy zachowali się poniżej przyjętych społecznie standardów.

Mary Douglas w „Purity and danger” (wydanie polskie nosi tytuł „Czystość i zmaza”) pokazuje, jak zakazy religijne służą w końcu celom ściśle społecznym. Ilustruje to na materiale żydowskich biblijnych zakazów pokarmowych. Wzmacniają one mianowicie tożsamość narodu wybranego, ak-

centując ważność idei czystości, a więc nakazując izolację i rezygnację z wszelkich przymieszek. W szczególności zakazują one mieszania ze sobą obiektów różnych kategorii (jedzenia mleka i mięsa, jednoczesnego sadzenia i siania na jednym polu, używania razem dwóch różnych zwierząt w zaprzęgu, dwóch rodzajów surowca w ubraniu - np. przędzy roślinnej i zwierzęcej itp.).

Wszelkie takie hybrydy są zakazane, jak argumentuje autorka, nie dlatego, że byłyby one niepraktyczne czy niezdrowe, ale dlatego, by zaakcentować i ugruntować ogólne idee wydzielenia, wyłączenia, zachowania odrębności i w ten sposób podkreślić ważność bycia „narodem wybranym”. Są one - jak powiada Pismo - „obrzydliwością”, tak samo jak obrzydliwością byłoby mieszanie krwi w małżeństwie z kimś spoza własnej grupy.

Idący tym tropem badacze pokazywali, że im bardziej dana grupa, w tym zwłaszcza mała grupa etniczna czy religijna, czuje się zagrożona przez świat zewnętrzny, tym wyraźniejsze albo tym bardziej prawdopodobne jest tam występowanie silnych przepisów, ustanawiających dychotomię czystego i nieczystego. Tezy te dałoby się pewnie potwierdzić przykładem Romów, ale także różnych sekt i kast. Z drugiej strony warto pamiętać, że idee „czystości”, niemieszania porządków mogą wiązać się ściśle z ideologiami wykluczenia, z tendencjami rasistowskimi, faszystującymi itp.

Nie wolno - bo nie tak Bóg chciał

Szczegółowa analiza biblijnych przepisów czystościowych i pokarmowych ujawnia jeszcze inne ciekawe ich sensory, bardziej już mitologiczno-religijne, a nie tylko socjologiczne. Na początek trzeba przyjrzeć się dokładnie zwierzętom, których dotykanie i zjadanie jest wedle Biblii zakazane. W Księdze Kapłańskiej i Księdze Powtórzonego Prawa są one określone jako „obrzydliwe”. Podane są tam kryteria czystości: wśród „zwierząt ziemnych” za czyste zostają uznane takie, które mają rozdwojone kopyta i są przeżuwaczami. Dodatkowo, jakby dla rozwiania wątpliwości, wymienione i zaliczone do nieczystych są wszystkie te, które spełniają tylko jeden z podanych dwóch warunków czystości; to tu (i nigdzie indziej) pojawia się sławetna świnia, ale też zaskakujący w kontekście Bliskiego Wschodu wielbłąd i inne.

Wystarczy odrobina wiedzy zoologicznej, by zrozumieć, co kryje się za taką regułą. Przeżuwanie to przecież forma przyswajania pokarmu roślinnego; z kolei rozdwojone kopyta oznaczają brak pazurów, umożliwiających rozrywanie zdobyczy. Łatwo zatem zrozumieć, że oba te kryteria wyznaczają jako czyste, dopuszczalne do konsumpcji tylko te zwierzęta, które mają obie takie cechy, które w sumie stanowią o ich roślinożernym trybie życia. A więc biblijna nieczystość świni ma identyczny sens i charakter jak wymienionego obok niej wielbłąda - każde z nich spełnia tylko jeden z wymaganych dwóch warunków czystości: świnia ma wprawdzie rozdwojone kopyta bez pazurów, ale nie jest przeżuwaczem, a zatem nie jest w gwarantowany sposób niemięsożerna; podobnie wielbłąd, tyle że na odwrót - wprawdzie jest przeżuwaczem, ale ma pazurzaste, nie całkiem rozdwojone kopyta.

A teraz do wiedzy zoologicznej dołączmy trochę wrażliwości religijnej. Trzeba przecież pamiętać, że zabicie zwierzęcia, pozbawienie go życia, to nie jest czynność błaha. Żydowskie komentarze do Tory (Pięcioksięgu) zabraniają

dziwić się, że jakiegoś zwierzęcia nie wolno zabijać; zamiast tego każą raczej dziwić się temu, że w ogóle człowiekowi wolno je zabijać. Bo przecież wszelkie życie należy do Boga; a co za tym idzie - uśmiercenie, konieczne dla zdobycia pożywienia, musi być aktem ofiarnym. Dokonuje się go w uboju rytualnym, w którym zwierzę składa się najpierw w ofierze (zwłaszcza jego krew - siedzibę życia), by potem można było samemu zjeść jego mięso.

Rozumie się samo przez się, że Bogu mogą być ofiarowane jedynie zwierzęta czyste, jakie sam stworzył w pierwszej, idealnej wersji świata - a ta była „wegetariańska”, wykluczała bowiem drapieżność. To dlatego lista nieczystych „zwierząt ziemnych” (a „nieczystych” znaczy tylko: zakazanych do zabijania i zjadania) wyklucza te, których cechy zewnętrzne nie gwarantują tego, że nie są mięsożerne. Nieprzypadkowo też sformułowana tamże lista dwudziestu „zwierząt powietrznych” obejmuje wszystkie ptaki drapieżne i wszystkożerne dawnej Palestyny.

Duchowy wymiar tego materiału staje się widoczny, kiedy przypomnieć, że wedle tego samego tekstu biblijnego w pierwotnym planie bożym nie było zabijania: raj był wegetariański. Bo przecież od razu na wstępie historii stworzenia (Księga Rodzaju 1, 30) sformułowany jest boski nakaz: „A wszystkim dzikim zwierzętom i ptactwu wszelkiego nieba, i wszystkiemu, co się na ziemi porusza i ma w sobie życie, przeznaczam wszelką trawę zieloną na pożywienie”. Drapieżniki i wszelkie zwierzęta, które nie respektują tej zasady, są zatem nieczyste, albowiem nie było ich w pierwotnym planie bożym. Z tego właśnie powodu nie można ich składać w ofierze, a z tego wynika zakaz ich zjadania. To samo można powiedzieć o kolejnej zakazanej grupie „zwierząt wodnych”: za nieczyste zostają uznane w Biblii takie, które nie mają łusek i skrzeli, a więc np. skorupiaki i ssaki morskie. Można tu odnaleźć następującą logikę: Bóg stworzył świat z pierwotnego chaosu przez uporządkowanie go i rozdzielenie (światła od ciemności, wody od łądu, powietrza od ziemi itd.). Wszystkie istoty były dopasowane do tego podziału. Te zatem, które nie mają organów stosownych do danego środowiska, te wyłamują się z pierwotnego planu bożego i muszą być uznane za nieczyste. Podobnie wspomniane wcześniej mieszaniny surowców stanowią zakłócenie tej uniwersalnej, kosmicznej zasady rozdzielenia.

A zatem wykluczone, czy zakazane jest wszystko to, co odbiega od pierwotnego, idealnego, rajskiego wzorca, jaki wyszedł bezpośrednio spod ręki Stwórcy. Zakazy biblijne okazują się wyrazem dążenia do utrzymania rzeczy w takich samych ramach, w takim samym porządku, w jakim powstały w czasach Stworzenia, opisanych we wzorcowym świętym tekście, w Księdze Rodzaju. Zasady czystościowe i tabuizacja służą utrzymaniu tamtych podziałów, a tym samym podtrzymaniu idealnego, sakralnego porządku świata i jeszcze nieskażonej kondycji ludzkiej.

Trudno oprzeć się refleksji, że takie pogłębione rozumienie biblijnych zakazów daleko odbiega od potocznych przeświadczeń, które ograniczają się do zgadywania, że świnia jest dla Semitów zakazana, bo brudna i niezdrowa. Niech będzie to przestroga przed uproszczonymi, przypadkowymi tłumaczeniami niektórych tabu. Zamiast wynajdywać jakieś doraźne, jednostkowe uzasadnienia, lepiej starać się zrozumieć całokształt materiału wierzeniowego i panującą w danej kulturze całościową wizję świata, której produktem są poszczególne tabu.

Jerzy S. Wasilewski



Albinos w Afryce jest skazany. Za życia: na wykluczenie, bo jest inny; na cień i mrok, bo słońce to rak skóry; na zabicie. A po śmierci: na poćwiartowanie, bo w magii każda część jego ciała jest cenna; na sprzedaż, bo są chętni płacić duże pieniądze za eliksiry z albinosa; na zalanie betonem, by uniemożliwić bezczeszczenie zwłok.

Fot. Artur Gutowski

Rybka na dłoni

- ☼ Jakie tajemnice romskie ujawniła Papusza?
- ☼ Jakie tabu złamała?
- ☼ Kto i dlaczego okrzyknął ją zdrajczynią?
- ☼ Jaką rolę w jej dramacie odegrali Jerzy Ficowski i Julian Tuwim?

Magdalena Machowska

Biografia Papuszy pełna jest niedopowiedzeń, sprzecznych danych i wykluczających się interpretacji. Rodzeniu się legendy sprzyja także nieznanostwo kultury cygańskiej i niewiedza na temat polityki państwa prowadzonej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku wobec Cyganów żyjących w Polsce.

☼ Cyganka - poetka - patriotka

Legenda kładzie nacisk na uwikłanie poetki w politykę w latach 1950-1953. Wtedy właśnie za sprawą artykułów prasowych i książki Jerzego Ficowskiego *Cyganie polscy* dotyczących ją oskarżenia o zdradę, co w konsekwencji doprowadza ją do choroby psychicznej i złamania pióra. Znamienne, że właśnie legenda chętniej mówi o odrzuceniu poetki i jej tajemniczym wycofaniu się, wstydliwie przemilczając jej chorobę psychiczną, która również miała wpływ na niemoc twórczą.

W latach pięćdziesiątych teksty i biografia Papuszy pokazywane były w politycznym kontekście:

Jest wśród wierszy Papuszy wiele utworów agitacyjnych, mobilizujących Cyganów do pracy, zachęcających do osiedlenia się. Byłoby bardzo pożądane i celowe, aby - za przykładem ZSRR - zbiór tych utworów został wydany po cygańsku i był kolportowany wśród Cyganów. [...] Podziałaloby ono na wędrujących jeszcze Cyganów znacznie silniej i skuteczniej niż zebrania propagandowo-uświadamiające, choćby były najlepiej zorganizowane.

Papusza jest wyrazicielką spraw cygańskich, jej wiersze są w swej tematyce wyłącznie cygańskie [...] znajdują także swój wyraz sprawy i tendencje nowe, postępowe, jak pęd do oświaty, przełamywanie nawyków koczowniczych, dążenie do osiadłego trybu życia, potrzeba produktywnego działania, twórczości. [...] I tym mocniej brzmi u Papuszy pochwała nowego, tym bardziej jest ona - zwłaszcza dla odbiorcy cygańskiego - przekonująca, tym skuteczniej agituje.

W czasopiśmie literackim regularnie, prawie co roku, ukazywały się jej wiersze, nadsyłane przez Ficowskiego, m.in. *Leśna pieśń*, *Liść*, *Na śladach ognisk*, *W maju*, *Przyszła zima bieluska*, *Pieśń Cyganki*, *Na dobrej drodze*, *Ziemio moja, jestem córką twoją*. Trzy ostatnie pojawiały się głównie w latach 50. i 60., prawdopodobnie dlatego, że doskonale odpowiadały wspomianej już akcji propagandowej. Ogłoszenie w druku *Ziemi mojej* zbiegło się z datą upowszechniania uchwały Prezydium Rządu i wiersz w polskim przekładzie obiegł prasę:

Skwapliwie podchwycono ten - jak go potraktowano - patriotyczny, a więc niecodzienny w kulturze cygańskiej utwór. Zachodni czytelnicy podejrzewali komunistyczną manipulację. [Jednak] jeśli tekst wiersza został wykorzystany propagandowo, jako dowód cygańskiej miłości do socjalistycznego ustroju i w tym kierunku nim manipulowano, ani autorka, ani tłumacz nie mieli na to wpływu. [...] Papusza z propozycji osiedlenia się skorzystała, podobnie jak inni jej rodacy, bo decyzję taką uznała w owym momencie za korzystną. I nie służyła nikomu za przykład, ani takiego zamiaru nie miała.

Na dobrej drodze z kolei Papusza napisała po powrocie ze spotkania w Ministerstwie Administracji Publicznej w 1950 r.

Daje [w nim] wyraz zrozumieniu konieczności przemian obejmujących cygańskie życie i akceptowaniu ich. Odbiegając od nierzadko spotykanego u Cyganów schematu myślenia i rozumienia zjawisk, Papusza nie widzi w koczowniczym i pasożytniczym życiu cech wrodzonych Cyganom, nakazanych przez przeznaczenie, lecz tylko wynik wiekowych przyzwyczajzeń.

Publikacjom tego utworu towarzyszyło zwykle zdjęcie poetki, które w kontekście opisów towarzyszących osiedlaniu Cyganów mogło podważać powszechnie funkcjonujący obraz Cygana - niewykształconego włóczęgi.

W pamięci czytelnika kodowała się informacja o Cygance - poetce - patriotce. W latach pięćdziesiątych w prasie pojawiały się artykuły ze zdjęciami Cyganów w czasie pracy. Obrazy były materiałem ilustracyjnym, który uzupełniał opis zawarty w tekście. Przykładem może być poniższy typowo propagandowy tekst o dobro-

dziejstwach płynących z przymusowego osiedlenia Cyganów, który odzwierciedla styl myślenia ówczesnych władz. Nakreślony obraz zadowolonych ze zmiany stylu życia Cyganów z Wałbrzycha, którzy nawet zakładają Stowarzyszenie Cyganów Osiadłych, ma uzmysłwić im samym, że:

przykład Związku Radzieckiego wskazuje, że właśnie nakłaniając do osiadłego trybu życia, przy jednoczesnym kultywowaniu tego, co jest wartością ludowej kultury cygańskiej, można doprowadzić do osiągnięcia zamierzonego celu. [...] Dziadkowie i babki robotników i robotnic cygańskich z Wałbrzycha bywali dumni z powodu udanego porwania konia ze stajni, chlubilili się też swymi wróżbiarskimi zarobkami. Dziś ich wnuki potrafią już być dumni z wyników swej pracy, z postępów swych dzieci w nauce.

Realia „akcji osiedleńczej” Cyganów układają się w historię zabiegów prowadzących w konsekwencji do wynarodowienia, utraty tożsamości grupowej i etnicznej. Grozę zdarzeń przysłały gesty propagandowe, oficjalne prasowe enuncjacje, z których wyłaniał się obraz sukcesu i zgody samych Cyganów na - jak to określała propaganda - ich „produktywizację”.

W Polsce [...] cygańscy robotnicy w PGR-ach, cygańska drużyna harcerska we Wrocławiu - to pierwsze oznaki postępu na nowej drodze wiodącej do osiedlenia, uspołecznienia i produktywizacji Cyganów polskich.

Do cygańskich robotników adresowany był stosowny apel w języku romskim i polskim, który skwapliwie podała prasa:

Cyganie! Teraz wszyscy mogą żyć jak prawdziwi ludzie. Dzisiaj Cygan i Cyganka wychodzą z nędzy do pracy, do prawdziwego życia! Wy i wasze dzieci będziecie się uczyć. Niech nam sprzyja szczęście w waszej nowej pracy.

Informatorka - zdrajczyni - uciekinierka

Zimą 1949/1950 roku przeprowadzono w Polsce spis ludności cygańskiej, a od 1952 roku zaczęły się rozmaite działania i akcje, które miały nakłonić grupy wędrujących Cyganów do porzucenia „koczowniczego trybu życia”. W rezultacie do 1960 roku przymusowo osiedlono ok. 4 z 15 tysięcy Cyganów. W profil osiedleńczych i emancypacyjnych działań został wpisany „apel” poetki wraz z wywiadem zamieszczony w 1950 roku w „Problemach”.

Treść wywiadu Juliana Tuwima z Jerzym Ficowskim wywołała wśród Cyganów falę oskarżeń Papuszy o zdradę tajemnic ich obyczajów. Uznali, że zawarte w tekście informacje o skalaniach, przysięgach „sowłacha” i wróżbach cygańskich podała Papusza. Dowodem miały być nie tyle włączone do rozmowy cztery jej wiersze, które Ficowski przypisał anonimowej „jednej poetce”, choć w tekście pojawia się jej imię - „Papusza”. Dowodem były fotografia Papuszy ze skrzypkiem Karolem Siwakiem oraz fotografia przedstawiająca część taboru Wajsów. Oprócz krótkiej charakterystyki jej twórczości poetyckiej zamieszczono również kilka wierszy: *Aj, Cyganie, co robicie, Na dobrą weszliśmy drogę, Smutna piosenka* (fragment

Magdalena Machowska
- etnolog,
cyganolog.
Zajmuje się antropologią pamięci, antropologią opowieści i form narracyjnych oraz antropologią doświadczenia.

w wersji polskiej i romskiej), *Jestem ja Cyganka biedna* oraz fragment pamiętnika o tym, jak nauczyła się czytać i pisać.

Na okładce tego numeru „Problemów” był kolaż - rybka na otwartej dłoni, który poetka odebrała jako aluzję, że została schwytana przez los i system, i że nie ma ucieczki oraz że „się sprzedała politycznie”.

Dwa lata wcześniej w liście do Juliana Tuwima z 23 XII 1950 Ficowski ostrzegł go przed konsekwencjami ujawnienia imienia Papuszy. Przewidywał, co mogłoby się wydarzyć:

Co do wierszy Papuszy i artykułu o nich (o niej), który zamierza Pan napisać, to nie jest taka prosta sprawa: Papusza zastrzegła sobie, żeby nigdzie, w żadnej publikacji nie wymieniać jej imienia. Przynależę jej to solennie, tym bardziej, że groziłoby to Papuszy ciężkimi przejściami ze strony Cyganów.

W następstwie publikacji w „Problemach”, w obawie przed zemstą środowiska, ratując życie, Papusza uciekała: „w grudniu 1950 roku (...) konnym wozem przez śniegi do Żagania, ponad trzysta kilometrów”. Opisała tę trwającą dwa tygodnie epopeję w liście do Ficowskiego tak:

Pierwszy raz w życiu jechaliśmy zimą w śniegu i w mrozy, z dziećmi, wozem. Ale, pomimo zimna, czy Pszałoro (Braciszek - J.F.) ma pojęcie, jaka piękna była jazda! Przed Świętami, nie powiem, żeby było bardzo zimno jechać. Sami jechaliśmy, dzieci spod pierzyn głowy wystawiały i śpiewały koledę. Na samą Wiliję nocowaliśmy w pięknym lesie, śnieg odrzucili i ogień napalili, i stary, i mały koło ogniska koledowali, i kartofle piekli, bo nie było co jeść, dwa tygodnie w jeździe. Ten rok dziwny, feralny i fatalny. Mamusia pojechała naprzód pociągiem, brat był gdzie indziej, siostra gdzie indziej. Cały karawan 6 wozów posuwał się naprzód, świętego oplatka nie jedliśmy w tym roku.

Po tej podróży pochorowali się wszyscy: mąż Papuszy z zapaleniem stawów znalazł się we wrocławskim szpitalu, Papusza i reszta - w grypie i gorączce - też we Wrocławiu na jakiś czas.

Skalana - wystraszona - chora

Kolejna fala oskarżeń wymierzonych w Papuszę o zdradę „cygańszczyzny” nastąpiła w 1953 roku, po ukazaniu się książki *Cyganie polscy. Szkice historyczno-obyczajowe* Jerzego Ficowskiego. Przedstawiała ona nieznaną dotąd powszechnie obyczajową stronę życia społeczności cygańskiej. Zawierała też słowniczek polsko-cygański. Oraz szkic o Papuszy i jej twórczości wraz z fotografiami poetki. To wszystko dla starszyny cygańskiej oznaczało, że to Papusza była informatorem Ficowskiego. Poetka została posądzona o złamanie jednej z najważniejszych zasad Romanipen dotyczącej solidarności wewnątrzgrupowej. Uznana za zdrajczynię działającą na szkodę społeczności cygańskiej, stała się skalana.

Papusza sprzeciwiała się publikacji tej książki. Gdy w listopadzie 1952 Jerzy Ficowski

powiadomił ją listownie, że ukończył pracę nad *Cyganami polskimi*, otrzymał odpowiedź, która była:

usilnie spokojna pełna godności, ale i powściąganego gniewu i żalu. Była oskarżeniem - nie mnie, ale całego obcego świata, oskarżeniem o niesprawiedliwość, o wieki prześladowań Cyganów. List [...] pisany był z zaciśniętymi zębami: z gniewu i aby nie pozwolić sobie na jęk.

...Najserdeczniej dziękuję za list tak dawno oczekiwany jak nigdy. [...] To potrzebne są wiersze Cyganki, a gdyby nie wiersze, to by na pewno niepotrzebne były takie Cygany jak my... Powiem to, co myślę, że nie powinnam pisać, ale skończyć raz na zawsze. [...] Wiem, że nie raz serce mnie na przyszłość boleć będzie i wiem, że los mnie prześladowuje całe życie, i wiem dobrze, że za dobro płacę złem i historia (napisana) przez Braciszka, Cyganie polscy, zrani mi serce". [...] Píše Braciszek, że skończył cygańską książkę, ceło dziipen jamaro romano (całe życie nasze cygańskie - J.F.). Braciszek píše, że jak się Cygany dowiedzą o tej książce, to straci przyjaciół cygańskich. [...] A ja swego narodu cygańskiego nie zdradziłam, ani na szubienicę nie wydałam. Bo każdy wie o tym, że kury kradli i wróżyli i tak dalej, wie z czego żyli, i czemu jeździł po świecie ten ciemny a mądry naród. [...] Trudno, mój Braciszku drogi, mam tylko jedną skórę, jak ją zerwą, to druga narośnie, piękniejsza i szlachetniejsza, bielsza. Powiedzą, że Papusza dziuklory (suka - J.F.). A może kiedyś w świecie zrozumieją, że ja nic złego nie zrobiłam, i nikomu nie zrobiłam krzywdy, i nie staram się o to [...].

W *Demonach cudzego strachu* Ficowski przytacza kilka listów Papuszy do niego, które pozwalają zrekonstruować wydarzenia z 1952 roku, poprzedzające ukazanie się *Cyganów polskich*.

Papusza píše o przecuciach, „strasznych snach” i złej wróżbie z gwiazd, które powodują jej „przemienienie”:

Drogi Braciszku, 52 rok dziś, mam zawsze dziwne przecucia, dziwują się ze mnie Cygany i ja sama się dziwuję. Nigdy nie byłam taka jak dziś - zupełnie inny charakter, specjalnie w tym roku. Braciszku, proszę sobie naprawdę zanotować to moje przemienienie, bo może kiedyś się przyda. To jedno, a drugie, że mogę więcej tego zdania nie napisać, zapomnieć, a może umrzeć, a może nagły wypadek, a może stracę pamięć na zawsze, a może mogę żyć sto lat a nie będę mogła wziąć pióra do ręki? Sny mam straszne, moje przecucia prawdziwe. - Na niebie coś niecoś rozumiem, bo kiedyś była w cygańskim taborze przed wojną wróżba z gwiazd. To dziś się zainteresowałam tą starą wróżbą i stale patrzę na niebo, i zawsze coś odgadnę. Ale moje sny i przecucia, i wróżba z gwiazd na niebie nie omyli. Ale w tym całym nieszczęściu to ja pierwsza zginę, proszę sobie to zanotować.

Wiadomość o wydaniu książki odczuła bardzo boleśnie.

Książka wyszła i coś się stało, dochodziły prawdziwe czy zmyślane wieści o szaleństwie Papuszy. [...]

Ficowski sytuuje początek choroby poetki przed jej przyjazdem do Warszawy w sprawie wycofania jego książki. Papusza poszła do Związku Literatów Polskich i prosiła, by Związek spowodował wycofanie *Cyganów polskich*:

Martwym głosem, jakby bez emocji, wskazała słowniczek polsko-cygański jako rzecz niedopuszczalną i dodała - są tam przede wszystkim FALORYKTA. [...] Poprosiłem Papuszę, żeby mi w książce wskazała palcem, gdzie się te FALORYKTA znajdują. [...] Były to słowa: „folklor”, „folkloru”, „folklorystyczne” itp. Związek uznał te słowa za niewinne, Papusza była innego zdania. Powiedziała, że za falorykta właśnie Cyganie wszyscy pójdą do więzień, że to najgorszy wyrok na nich. Książka pozostała, Papusza uciekła.

Wspomnienia Ficowskiego uzupełniają listy męża poetki, Dionizego Wajsa, które dowodnie wskazują na to, że obłąd Papuszy zaczął się podczas jej pobytu w Warszawie w grudniu 1953 roku, gdzie bezskutecznie próbowała interweniować w sprawie wycofania *Cyganów polskich* Jerzego Ficowskiego:

Kochany braciszku Sownakuno

Proszę uprzejmie o napisanie mnie co zaszło w Warszawie, jak przyjechała Papusza do Was, bo Papusza wruciła z Warszawy umyślowo chora i to nawet poważnie. Więc braciszku bardzo Cię proszę i bądź tak uprzejmy napisać. Byliśmy z Papuszą u lekarza i twierdzi że to dostała z przestרחu i przejęcia się

Dionizy Wajsa
Czekam na bezwłoczną odpowiedź

W innym liście píše:

Żagań, dn. 29. 12. 53 r.

Drogi Sownakuno!

List wasz otrzymałem, za który serdecznie dziękuję. Drogi Sownakuno przepraszam serdecznie za błądzenie mojej żony - Papuszy u was, ale myślę że Sownakuno nie weźmie sobie za złe, to co wyrządziła Papusza Wam. Drogi Sownakuno opiszę jak Papusza zaczęła błądzić po powrocie z Warszawy. Mówiła rzeczy niestworzone, ale nie zawsze przyszedł czas, to błądziła ogromnie, a przeszła ta chwila to była normalna, tak powiedzieć, że jak jej przejdzie to nie mówi tylko myśli, a sama niewie - co. Po myśleniu dostaje wielkie żale i zaraz nacznie bardzo płakać, a po [płacz, poprawione „y” na „u”] płaczu nerwuję się i mówi dla czego wpisały moje wierszy w tą książkę (Cygani Polskie) i właśnie ta książka jest fundamentem jej nerwów.

Zasylamy serdeczne pozdrowienie z Nowym rokiem

Dionizy

Wiele lat później we wspomnieniu poświęconym poetce Ficowski pisze:

Nie mogłem jednak nie ostrzec go [Tuwima - M.M.] przed nieprzeczuwanym przezeń ryzykiem, przed mimowolnym a nieobliczalnym w skutkach zagrożeniem Papuszy. To prawda, że sam nie dotrzymałem danego jej przyrzeczenia i nie zachowałem dyskrecji, ogłaszając później jej wiersze i garść wiadomości o niej. Zawiodły mnie wówczas pewne pozory i pochopnie wyzbyłem się obaw. [...] Miałem szczęście poznać Papuszę, uchodzę za jej „odkrywcę”. Papusza - miała nieszczęście poznać mnie. [...] Ale - wolno przypuszczać - Papusza byłaby szczęśliwsza, nie doznałaby tylu klęsk.

Nierozumiana - nieszczęśliwa - sama

W 1973 roku Ficowski, wydając *Pieśni mówione* Papuszy, zapewniał, że jej powrót do twórczości w 1970 roku „to wydarzenie radosne”, ale jednocześnie w tym samym tekście wyraża przekonanie, że po tragicznym zamilknięciu, zniszczeniu rękopisów i ciężkiej chorobie Papusza nigdy już nie powróci do pisania. Powiedziała przecież: „Gdybym się nie nauczyła czytać i pisać, ja głupia, byłabym dzisiaj szczęśliwa”.

W czasopiśmie literackich regularnie, prawie co roku, ukazywały się jej wiersze, nadsyłane przez Jerzego Ficowskiego.

Reportaż Elżbiety Dziwisz przybliżyła postać osamotnionej poetki z końca lat siedemdziesiątych. Dziennikarkę uderzyła ogromna, dojmująca samotność Papuszy i cisza:

Mieszkanie jest mroczne w starym domu, okna nieuszczelne. Sprzęty tylko najpotrzebniejsze. I taka cisza! Właśnie ta cisza zaskakuje. [...] Kto zna naturę Cygana, ten zrozumie, że cisza tego domu jest dramatem tej kobiety. Cyganie zaglądną tu rzadko. Nie rozumieją wierszy Papuszy, mają jej za złe, że zdradziła ich tajemnice. Odgrodzili się od niej i milczą.

W 1981 roku Papusza wyjechała do Inowrocławia, aby zamieszkać z siostrą, Janiną Zielińską, i jej rodziną. Zmarła w tamtejszym szpitalu w 1987 roku.

Scenariusz widowiska *Papusza*, które zespół Terno wystawiał na początku lat osiemdziesiątych ponad trzysta razy, kończy się lepiej niż w życiu: Papusza zostaje wykłeta i wypędzona z taboru. Dopiero po jakimś czasie Cyganie pojmują, że wiersze Papuszy to nie dokument zdrady, lecz ich kultury, że im nie szkodzą, lecz wprost przeciwnie, dzięki nim Polacy lepiej rozumieją Cyganów. Wójt rozkazuje odszukać Papuszę i przywraca jej wszelkie prawa oraz honor członka taborowej społeczności.

Magdalena Machowska

Bibliografia:

- J. Ficowski, *Cyganie polscy...*, dz. cyt., str. 136.
J. Ficowski, *Słowo wstępne* [w:] Papusza, *Pieśni Papuszy*, Wrocław 1956, s. 22.
A. Bartosz, *Nie bój się Cygana*, Sejny 1994, s. 117.
J. Ficowski, *Cyganie polscy...*, dz. cyt., s.132.
Zob. treść wezwania wałbrzyskich Cyganów do aktywnego udziału w Narodowym Plebiscycie Pokoju w 1951 r oraz apel Władysława Siwaka do polskich Cyganów o porzuceniu koczowniczego życia i budowę dobrobytu i socjalizmu [w:] J. Ficowski, *Cyganie polscy...*, dz. cyt., s. 195-196.
M. Bednarski, J. Ficowski, *Cygańskie życie inaczej*, „Świat” 1954, nr 49.
R. Szczepankiewicz, M. Maj, *Nowa droga Cyganów*, „Przekrój” 1951, nr 302, s. 4-5.
J. Ficowski, *Głos cyganologa*, „Przekrój” 1951 r, nr 304, s. 10.
J. Tuwim, *Listy do przyjaciół-pisarzy*, opracował T. Januszewski, Warszawa 1979, s. 458.
J. Ficowski, *Demony*, s. 251.
J. Ficowski, *Demony*, s. 252-253.
J. Ficowski, *Demony*, s. 251.
Tamże, s. 257-258.
Sownakuno – Złoty. Przydomek nadany przez Cyganów J. Ficowskiemu jako dowód przyjaźni, bliskości i zaufania. Obdarowanie nie-Cygana imieniem cygańskim jest wielkim zaszczytem i nominalnym aktem włączenia do społeczności.
„W listach do nie-Romów przyjęta jest tradycja, żeby do siebie pisać przez „brat-siostra”, ponieważ sam fakt, że z kimś można korespondować po romsku, świadczy o jego bliskości”.
M. Cortiade, *Wzory listów romskich*, „Rrom p-o Drom” 1992, nr 2, s. 5.
Z koresponencji Dionizego Wajsa z Jerzym Ficowskim wynika, że choroba umysłowa Papuszy zaczęła się podczas jej pobytu w Warszawie w grudniu 1953 roku, gdzie bezskutecznie próbowała interweniować w sprawie wycofania *Cyganów polskich* Jerzego Ficowskiego. Książka, w nakładzie 5 tys. egzemplarzy, została wydrukowana dwa miesiące wcześniej - 2 października tego roku. Zgodnie z tą hipotezą można uznać, że poetka zachorowała na bliżej nieokreśloną reaktywną formę zaburzenia psychicznego, które może wywołać m.in. silne przeżycie lękowe. Więcej zob.: *Leksykon psychiatrii*, red. S. Puzyński, Warszawa 1993, s. 527-528.
W pierwszej fazie choroby zachowanie Papuszy mogło być osobliwe i niezgodne ze społeczną normą bycia psychicznie zdrowym.
W *Cyganach polskich...*, dz. cyt., w rozdziale *Pieśń i baśń*, Ficowski scharakteryzował ustną, anonimową twórczość Cyganów nizinnych i wyżynnych, a jako przykład rodzącej się imiennej, autorskiej pieśni dał Papuszę i jej poezję. Analizę tych tekstów (*Jestem Cyganka biedna, Pieśń cygańska, Na dobrej drodze jesteśmy, Ziemia moja, jestem córką twoją, Na stepie zabity, Patrzę tu, patrzę tam, Kolczyk z liścia*) umieścił w kontekście biografii poetki. Zamieścił również napisany przez nią życiorys-pamiętnik.
J. Ficowski, *Cyganie polscy*. Szkice historyczno-obyczajowe, Warszawa 1953.
J. Ficowski, *Demony...*, s. 204, 209-210.
E. Dziwisz, *Całe życie Papuszy*, Warszawa 1981, s. 46.

Studiująca w USA biegaczka Sarah Attar była w 2012 roku - wraz z Wodjan Shahrkhani - pierwszą kobietą, która reprezentowała Arabię Saudyjską podczas Letnich Igrzysk Olimpijskich. Do mety biegu na 800 m dotarła ostatnia, ale przy owacjach. Prawo Arabii Saudyjskiej nakazuje kobietom zasłanianie twarzy, a więc noszenie do hidżabu także nikabu – zasłony, chusty na twarz. Sarah i Wodjan nazywane są przez saudyjskich „patriotów” „olimpijskimi prostytutkami”.

Fot. Marc Atkins/BPI/East News



Krótką historia zabijania tabu

Prowokacje i skandale, forsowanie granic i bulwersowanie - to paliwo, które od zakończenia drugiej wojny światowej napędza turbiny rozrywki. Kultura popularna i masowa zrodziły się na zgliszczach zrujnowanego świata - obyczajowości, moralności i etyki nadwyreżonej albo całkowicie przedefiniowanej w wyniku wojennego dramatu. Rozkwit show-biznesu w Stanach Zjednoczonych i Europie był więc jednoznaczny z powrotem do życia, zabawy, odwróceniem uwagi od koszmaru zniszczenia i śmierci, budowaniem nowych kanonów. Ten wektor, wyznaczający kierunek i cel istnienia powszechnej rozrywki, obowiązuje do dziś. Wciąż aktualna pozostaje naczelną regułą widowiskowości: „przedstawienie musi trwać”, z tą różnicą, że zabawa i przyjemność są obecnie wartościami niemal obowiązkowymi. O ile ucieczkę do radosnego, lekkiego życia w latach powojennych nietrudno uzasadnić czy zrozumieć, o tyle współcześnie ma ona mniej jednoznaczny charakter. Nie jest już związana z koniecznością odreagowania cierpienia, nie ratuje przed zmorami. Ostatnio, w pierwszych latach XXI wieku, przestała nawet służyć tworzeniu nowego ładu obyczajowego - zajmuje się jego demontażem. Jest w coraz większym stopniu odseparowana od rzeczywistości, a raczej celowo się od niej oddziela. Otwarte pozostaje pytanie, w jakim stopniu stała się istotnym nośnikiem cywilizacji śmierci. Popkultura wbrew pozorom celebrycji życia stanowi jego zaprzeczenie. I angażuje wszystkie swoje zasoby, by podważyć istnienie człowieka. To on, ze swą fizycznością, emocjonalnością i niedoskonałością, z wątpliwościami, zmarszczkami, uprzedzeniami, chorobami i lękami, jest najbardziej zwalczaną przez rozrywkę postacią. A samo życie - jego skończoność, upływ czasu, nieuchronność śmierci - stanowi temat zakazany i skrywany milczeniem, mimo że nigdy wcześniej nie mówiliśmy tak śmiało o tak wielu sprawach.

Przemysł rozrywkowy to miecz obosieczny - odkąd istnieje, trudni się forsowaniem utartych schematów, podważaniem konwenansów i reguł, a jednocześnie pozostaje pruderyjny, konwencjonalny i pozbawiony odwagi. To rozdwojenie ma wspólną przyczynę - opłaczalność. Machina popularności z jednej strony wymaga stałego przyciągania uwagi, elektryzowania, wywoływania zmian, gromadzenia publiczności zainteresowanej zapłaceniem za atrakcyjne widowisko. Z drugiej - potrzebuje mas, płynie więc głównym

☀ Popkultura wytwarza złudzenie otwartości, buduje iluzoryczny świat pozbawiony zaklętych rewirów i tematów zakazanych. ☀ W rzeczywistości jednak przemysł rozrywkowy to machina pracująca wytrwale, by zaprzeczyć istnieniu obszarów pozostających tajemnicą. ☀ Przemilczanych i nienaruszalnych

Paulina Wilk

nurtem, odwołując się do uśrednionych oczekiwań i gustów, nie może podejmować ryzyka. I gdyby zrobić bilans społecznego oddziaływania kultury masowej, najpewniej byłby on zerowy - równie wiele udało się zmienić, co utrzymać w dawnym kształcie. Na każdy śmiały przekaz przypadają dziesiątki powściągliwych. Rozrywka to polityka środka - postępową o tyle, o ile nadmiernie nie drażni tradycjonalistów. Wobec sztuki i twórczości niezależnej, której motywacje są pozafinansowe i w mniejszym - lub w żadnym - stopniu zależą od akceptacji odbiorców, popkultura ma funkcję towarzyszącą. To nie ona „popycha świat naprzód”, kwestionuje obowiązujące wzorce, nie ona dokonuje aktu transgresji. Jedynie naśladuje w tym względzie artystów, jest więc wobec nich zawsze spóźniona, wtórna i zwykle ugrzeczniona. Ale ponieważ to ona ma masową skalę rażenia, odgrywa decydującą rolę w upowszechnianiu nowych postaw, obszarów akceptacji, usuwaniu czy przesuwaniu granic. Wielkie gwiazdy popu, celebryci i idole są czymś na kształt tub nagleśniających przełom, informujących o dokonującej się zmianie, pomagających ją usankcjonować. Każdy z nich stanowi ikonę złożoną z różnych elementów zapożyczonych ze świata sztuki i zaadaptowanych do okoliczności - stępionych lub wyostrzonych, w zależności od efektu, na jaki obliczone jest jej oddziaływanie. Kultura popularna nie jest zjawiskiem sprzyjającym rozwojowi w ogóle, tylko narzędziem służącym interesowi, a więc wspierającym lub hamującym zmiany, w zależności od tego, co przyniesie zysk. Ostatnie 70 lat - cały dorobek powojennego show-biznesu - to historia przesuwania granic, obalania niezliczonych tabu, ale też ich umacniania czy przenoszenia do obszarów wcześniej uznawanych za dostępne.

'50. Seks i mieszanie

Powojenna Ameryka i Europa zajęte były baby boomem - „uzupełnianiem substancji ludzkiej” po latach wojny. Naturalną konsekwencją tej wzmożonej aktywności seksualnej była potrzeba jawnego prezentowania zmysłowości.

Pojęcia takie jak pruderia, wstyd, przyzwoitość w wyniku przeżyć wojennych domagały się nowych definicji, dawny sens utraciły. Dla młodych pojawiła się okazja budowania życia według nowych, swobodniejszych wzorców i ucieczki od uładowanej, trzymającej fason obyczajowości. Zaczęło się więc wielkie zamieszanie wokół seksu, które trwa do dziś, choć teraz walki toczą się już na mniejszych frontach, dotyczą przede wszystkim mniejszości seksualnych. W latach 50. Elvis Presley pożyczył „nieprzyzwoite” ruchy, rytmy i teksty od czarnoskórych amerykańskich muzyków i rzucił je na pożarcie rozgorączkowanym białoskórym nastolatkom. Seksapil, namiętność i cielesność, z którą dobrze zaznajomiona była połowa Amerykanów - ta nazywana „publicznością rasową” - trafiły wówczas do szerokiego obiegu. Podczas gdy dzięki Presleyowi jedno tabu udawało się przełamać, inne - dotyczące koloru skóry - zostało wzmocnione. Elvis zrobił karierę dzięki utworom zabranym z repertuaru czarnych gwiazd soul, jazzu, r'n'b i rock'n'rolla. Ella Fitzgerald, Duke Ellington i Billie Holiday wchodzili na scenę tylnymi drzwiami i sypiali w autobusach, zaś towarzyszące im białe orkiestry - w eleganckich hotelach. Na koncertach publiczność białoskórą i czarnoskórą rozdzielał kordon policji. Widzowie nie wytrzymywali jednak podniecenia - mieszała się i bawili razem.

'60. Wolność, jedność i złudzenia

W kolejnym dziesięcioleciu kino i muzyka rozrywkowa odegrały definiującą rolę w próbie przełamania tabu rasowego dzięki zaangażowaniu czarnoskórych artystów w działalność ruchu praw obywatelskich i dzięki zachwytowi, z jakim Afroamerykanie przyjmowani byli na pozbawionych uprzedzeń scenach europejskich. Spopularyzowany soul stał się opowieścią o społecznej przemianie, Aretha Franklin zawędrowała na szczyt, przebojowo domagając się respektu, a James Brown uruchomił funkową maszynę seksu. Lata 60. były, obok lat 20., najważniejszą dekadą XX wieku, w której sztuka i kultura popularna mówiły jednym głosem i przemeblowywały rzeczywistość. Nigdy później rozrywka, muzyka, moda czy film nie miały tak wiele wspólnego z polityką ani tak bezpośredniego wpływu na zmiany prawne i sankcjonowanie nowego ładu. Ale i wtedy trwała produkcja iluzji. Hippisowskie uniesienie żyło krótko, uwieczniony przez Woodstock mit jedności był w rzeczywistości owocem jednego idealistycznego „lata miłości” 1968 roku. Po zabójstwie Martina Luthera Kinga, aferze Watergate, przy coraz gorszej sytuacji ekonomicznej w Europie szybko okazało się, że przekraczanie granic i zasiedlanie obszarów zakazanych miało miejsce przede wszystkim w sferze symboli.

'70. Gniew i psychodelia

Seksualność zesza na dalszy plan i widać było, jak niewielkie wyzwolenie przyniosła, gdy w latach 70. w Wielkiej Brytanii zaczął objawiać się punkowy gniew dzieci-śmiec, a rozkwitający w nowojorskich gettach hip-hop przypominał, że amerykański rasizm ma się dobrze. Społeczne i ekonomiczne bariery ani drgnęły. Za oceanem upadek ideałów leczyła muzyka narko-

Paulina Wilk
- dziennikarka prasowa,
reportażystka, recenzentka i
felietonistka. Publikuje m.in.
w „Kontynentach” i
„Tygodniku Powszechnym”.
Pracowała w Indiach,
Chinach, Kenii, Brazylii i
Izraelu. Za debiut książkowy
„Lalki w ogniu. Opowieści z
Indii” (2011) nagrodzona w
2012 roku Bursztynowym
Motylem im. Arkadego
Fiedlera; otrzymała
nominacje do nagrody Nike i
Nagrody im. Beaty Pawlak.
Autorka książek dla dzieci:
„Przygody misia Kazimierza”
(2012) i „Lato misia
Kazimierza” (2013).

tyczna, nadeszła funkowa i rockowa psychodelia - ponowna próba przywołania wolności i złamania zakazanego, tym razem już rozpaczliwa - wspomagana środkami odurzającymi, mająca wyłączać świadomość i ułatwić eksperymenty: seksualne, erotyczne, metafizyczne.

'80. Regulowana przyjemność

Trwałość zakazów, pozornie zmiana objawiła się z nową mocą w latach 80., gdy masowe kino i muzyka pop stały się rzecznikami ładu korporacyjnego. Dawne dzieci kwiaty włożyły garnitury i garsonki, zajęły się zarabianiem pieniędzy w szklanych drapaczach chmur. Podobnymi konsumpcyjnymi prawami rządził się thatcheryzm. Tym wielkim siłom polityczno-gospodarczym towarzyszył obyczajowy konserwatyzm, raz już przełamane tabu okazało się wciąż aktualne. Whitney Houston i Anita Baker śpiewały co prawda popularne przeboje, ale pod dyktando białych producentów, którzy usuwali wszelką niekontrolowaną zmysłowość, a w jej miejsce wprowadzali gładkie balladowe tony pasujące do biznesowych kolacji i luksusowej garderoby. Czarnoskóre gwiazdy były pacynkami w rękach korporacyjnych decydentów - przemysł rozrywkowy umocnił się jako dziedzina globalnego biznesu, odszedł od ryzykownych treści, a skupił się na widowiskowym kiczu, beztrojskich kolorach, produkcji efektownych teledysków. Nastąpił powrót do pruderii, przebojem kinowym stał się poprawny „Dirty Dancing”, jakby emanujący seksapilem; drapieżni i wyzwoleni artyści lat 60. i 70. w ogóle nie istnieli. Najważniejsze stały się znów regulowana przyjemność i odwracanie uwagi od napięć społecznych. Wielobarwna popowa bajka lat 80. zasilala marzenia wschodniej Europy o rozkosznym i komfortowym życiu wśród superbohaterów takich jak: wystrojona w poszarpane koronki Madonna, zaprzyjaźniony z szympansem Jackson, nieustraszony pogromca Rambo. Madonna w teledysku całowała na ołtarzu czarnoskórego księdza, a Freddie Mercury z Queen śmiało obnażał swą homoseksualność, ale ich prowokacje nie miały już doniosłości - były uwięzione w rozrywkowych kategoriach, w świecie niepoważnym, rozbawionym. Mogły przyciągać uwagę, ale niczego nie mogły zmienić.

'90. Nowoczesność i dekadentyzm

Tuż przed końcem stulecia, w latach 90., ludzkość się zreflektowała i zapragnęła wejść w nowy wiek z godnym dorobkiem. Na nowo wzmocnił się pęd ku nowoczesności i zmianie, wróciła ambicja poszukiwania nowych kształtów, a na przeciwnym biegunie rósł nowy dekadentyzm - obskurny, antykonsumpcyjny grunge. Naprzód parła machina postępu, z ostrzem wycelowanym we wszelkie formy dyskryminacji i zakazów. Bruce Springsteen w „Streets of Philadelphia” upominał się o godność wyklętych nosicieli wirusa HIV. Michael Jackson w „Black or White” próbował ostatecznie zdeptać podziały rasowe, choć sam był dwuznacznym symbolem - największą czarnoskórą gwiazdą w historii, a jednocześnie człowiekiem o wybielonej, bladej skórze. Madonna toczyła krucjatę o społeczne usankcjonowanie miłości homoerotycznej, biseksualnej i sadomasochistycznej, ale

gorzko się rozczarowała, gdy jej śmiały album „Erotica” nie odniósł sukcesu. Amerykańska klasa średnia zwarła szyki i odmówiła udziału w zabawie ze skórzanym pejczem. Prowokacje seksualne przestały działać, Madonna zwróciła się więc ku rozwojowi duchowemu i wielokulturowości, która stała się modną namiastką religii u schyłku XX wieku. Na jakiś czas królowa popu zrezygnowała z ataków na Kościół katolicki, trwający niewzruszenie mimo ponawianych przez nią zamachów na świętości. Zwróciła się więc ku hinduizmowi, kabale i medytacjom, raz jeszcze podkreślając, że we współczesnym świecie wszystko jest równouprawnione i dozwolone. Pomagali i inni: George Michael ujawnił swój homoseksualizm, raperzy przejęli stery przemysłu muzycznego - to czarnoskórzy producenci nadali ton muzyce przełomu stuleci.

'oo. Koktajl z resztek tabu i śmierć

W takim nastroju - przełomowej swobody - popowy korowód wkroczył w wiek XXI. I natychmiast zaczął kręcić się w kółko. Bohaterom zbiorowej wyobraźni - gwiazdom i idolom - nagle zabrakło przeciwnika. Zabrakło reguł, wobec których mogli się określać, i punktów sprzeciwu, na których mogliby oprzeć swoją fikcyjną tożsamość. Wszystko, co kontrowersyjne, prowokacyjne, mogące wydrążyć nową szczelinę zostało już wykorzystane. Ostatnią popową karierę w XX-wiecznym stylu zrobiła Lady Gaga, która przygotowała dla publiczności koktajl z resztek, odłamków tabu, jakie zostały po trwającej pół wieku rozrywkowej nawałnicy. Posklejała swój wizerunek z prowokacji erotyczno-moralnych, powtarzając zabiegi poprzedników. Napisała rodzaj podsumowania ich dorobku, łącząc obrazy soft-porno i stroje z surowego mięsa z transseksualnością. Jeden tylko element jej kariery był świeży - Lady Gaga zdecydowała się na taniec ze śmiercią, podobnie jak najwyżej wyceniany artysta współczesny Damien Hirst, słynący z diamentowych czaszek i zwierzęcych cielsk pływających w formaldehydzie. W utworach Lady Gagi i towarzyszącej im oprawie wiele było wątków martwoty: blade, przypominające manekina ciała wokalistki, czerń i krew w teledyskach, pogrzebowe stroje, martwe spojrzenia, twarze bez wyrazu, metaliczne dźwięki. Ten krótki lot - Gaga szokowała przez niespełna dwa sezony - był rodzajem nekrofilskiego epilogu popowej epopei. Nie ma już - a przynajmniej tak się wydaje - żadnej granicy do przekroczenia, żadnej świętości do zszargania. Żadnej tajemnicy, którą można jeszcze uwolnić.

Post tabu. Wirtualna fikcja

Gwiazdy rozrywki tak gorliwie dekonstruowały i kwestionowały ład, że teraz są bezrobotne. Nie mają o co walczyć, mogą nas tylko zabawiać, ale czym? Te same prowokacje odmieniane przez wszystkie przypadki straciły moc, nudzą. Ostatnie półwiecze nauczyło nas obojętności wobec strącanych pomników i niszczonej stereotypów, wyważanych drzwi i objawiających się nowych wzorców. Otwartość, szerokie horyzonty, tolerancja są pojęciami przeżutymi, zgadzać się na wszystko - to łatwe, codzienne. Nic nas już nie dziwi, gorzej, że prawie nic już nie porusza. Nie dostrzegamy wszystkiego,

co popkultura uparczywie od lat przemilcza. Skoncentrowała naszą uwagę i wysiłek na powiększaniu obszaru swobody, na postaciach fikcyjnych, uwięziła nas w terażniejszości, chwili bieżącej. Tym, co zmieniała w tabu, stało się natomiast prawdziwe życie: człowiek i realia. Z kultury masowej usunięci zostali „ludzie z krwi i kości” - każdy aspekt ich życia, łącznie z najbardziej intymnymi i trywialnymi elementami, podlega medialnej konsumpcji, co de facto oznacza, że życie osób publicznych jest w całości przetwarzane w fikcję. Stylizowana iluzja zagarnęła wszystkie obszary ich funkcjonowania. Tak zwane „przypadkowe zdjęcia” są pozowane, koncerty - grane z playbacku, wizyty w miejscach publicznych - aranżowane. A prawdziwa śmierć - Lady Diany, Michaela Jacksona czy Amy Winehouse - zostaje wtłoczona w maszynę produkowania opowieści. Umierają ludzie fikcyjni, stworzeni przez przemysł rozrywki, ich śmierć jest więc tylko finałem widowiska, ostatnią rolą do zagrania. Natomiast śmierć prawdziwa jest zakazana i wyklęta. Przeciwno niej pracuje globalny przemysł rozrywkowy, medyczny, farmaceutyczny. Wszystko, by przedłużyć chwilę, unieвозмоwić nadejście zakończenia. Czas nie ma prawa istnieć w opowieści o ludziach młodych i szczęśliwych, jedyną jego funkcją jest wieczność i nieskończoność. Został arbitralnie zatrzymany, jako największy wróg beztraskiego niby-życia. Bohaterowie kultury masowej docierają do nas poprzez media, w spreparowanych wcieleniach: udoskonaleni komputerowo, ulepszeni przez chirurgów plastycznych. Z przekazów medialnych znikają ludzkie twarze, zamiast nich pojawiają się perfekcyjne maski oraz figury zastępujące ciała. Takich ludzi, takich rąk, nóg i oczu nie ma. Nie stworzyła ich natura ani Bóg. Nie ma też zdarzeń, o jakich donoszą media. Bo nie trudnią się już one informowaniem, tylko przysparzaniem rozrywki, zmyślaniem świata. Także w tym wymiarze odebrano nam kontakt z prawdą. Odkąd wolno nam wszystko, chcemy tylko jednego - nieśmiertelności. Liczne, rozproszone obszary tabu zostały zastąpione jednym - tym przeklętym końcem. Za sprawą popowej rozrywki udało nam się dokonać prawdziwej transakcji. Zamiast życia wielowymiarowego, przynoszącego pulę niemożności i ograniczeń, zakazów i zakłęb, mamy istnienie nieograniczone i spłaszczony - możemy poruszać się we wszystkich kierunkach, dowolnie daleko, ale tylko na jednym, terażniejszym poziomie. Poczucie pustki, wyczerpanie i braku sensu - im bardziej są oczywiste, tym wyżej plasują się w spisie tematów zakazanych, tuż obok: starości, śmierci, samotności, bólu zębów, zawiedzionej miłości, niepowodzeń, długów, nieudanego seksu czy smutku. Rozrywkowa inkwizycja cenzuruje niepożądane treści, strąca je w niebyt i zagłusza. Według dopuszczalnych rozrywkowych scenariuszy choroba musi skończyć się triumfalnym wyleczeniem, starość - okazać radosną, spełnioną i pozbawioną bólu, a samotność - być sposobem na osiągnięcie indywidualnego szczęścia. Jedyną dozwoloną wersją wydarzeń jest happy end i zabawa bez końca. W tak zdefiniowanym świecie nie ma miejsca dla człowieka. Są jedynie postaci przypominające barwny hologram, złożony z pikseli i zawieszony w powietrzu jak fatamorgana. Tacy hologramowi idole są już gwiazdami muzyki pop w Azji, zastępują ludzi. Tabuizacja realnego życia staje się faktem także w kulturze zachodniej, gdzie z pomocą show-biznesu, nowych mediów i technologii rzeczywistość przegrywa z wirtualną fikcją.

Paulina Wilk

Mięso psów w Chinach wciąż cieszy się powodzeniem. Podobno wzmacnia męskie libido i poprawia krążenie. Większość psów trafiających na stoły w restauracjach hodowana jest specjalnie w tym celu. Są bite i torturowane, bo wydzielana przez nie ze strachu i bólu adrenalina ponoć udoskonala smak mięsa. Najstynniejsze restauracje w Szanghaju przerabiają dziennie nawet tony psiny. Psy i koty trafiają też na szwajcarskie i niemieckie stoły. W 2006 roku w wywiadzie prasowym duński książę Henryk zachwycał się smakiem psiego mięsa. Unia Europejska zakazała handlu i uboju psów w 1986 roku. Władze Chin wprowadzenie zakazu rozważają.

Fot. Quirky China News/Rex Features/East News



Migawki z zakazanych światów

☸ Podróżujemy od ponad dwudziestu lat, najchętniej do miejsc,

do których nie dociera turysta. ☸ Do kultur, które chronią swój świat przed naszym światem. ☸ Do granic nieprzekraczalnych

Aleksandra i Jacek Pawliccy

Dzień budzi się rześki i skąpany we mgle. Jak zwykle w styczniu w tej części Indii. Bogaci mieszkańcy Bombaju od dziesięciu lat opuszczają o tej porze roku duszne wybrzeże i uciekają w przyjemny chłód kontynentu. Na wzgórza Munnaru pokryte herbacianymi polami i Nilgiri Hills - górzyste wnętrza południa Indii. Wysokość i kontynentalne prądy powietrza pozwalają żyć. Dają wytchnienie od oblepiającej ciało wilgotności wybrzeża. Stokami Nilgiri Hills jedzie stuletni pociąg. Do dziś obowiązują w nim trzy klasy pasażerów, poczynając od zagranicznych gości, kończąc na biedocie. Na peronach osobne miejsca wyznaczono dla kobiet, osobne dla mężczyzn. Osobne poczekalnie. Pociąg sunie wolno. Czas jeszcze wolniej, a historia rdzennych mieszkańców tego miejsca w ogóle zatrzymała się w miejscu. To właśnie tu, wśród wzgórz Nilgiri, trwa od wieków 16 prehinduskich plemion. Wśród nich liczący nie więcej niż 800 przedstawicieli lud Toda.

Sacrum w becze

Mleczna mgła zaczyna powoli unosić się ku górze. W przeciwieństwie do słupka rtęci na termometrach. Temperatura wciąż nie przekracza dziesięciu stopni. Odziani w polary wspinamy się do wioski Toda. Wioska dopiero budzi się do życia. Znad dachów domów zaczynają unosić się dymy, co znaczy, że *dhal* - rozgotowana soczewica stanowiąca podstawę pożywienia wszystkich mieszkańców Indii - zaraz wypełni zapachem całą okolicę.

W wiosce witają nas tylko dwaj kilkuletni chłopcy. Witają to za dużo powiedziane. Dostrzegają i prężą swe dziecięce, nagie ciała, jakby szykowali się do skoku. Mimo chłodu jedynym ich ubraniem są przepaski na biodrach. To świątynni strażnicy. Nie wolno im z nikim rozmawiać, nikomu nie wolno się do nich zbliżać. Strzegą wejścia do świątyni, niewielkiego otworu sięgającego dorosłemu człowiekowi do kolan. Świątynia Toda wygląda dokładnie tak samo, jak wszystkie otaczające ją domy. Tyle tylko, że jest od nich większa. Ale ma ten sam co siedziby Toda kształt - przewróconej i przeciętej wzdłuż beczi. Dlaczego akurat taki? Nikt z kilkudziesięciu mieszkańców wioski nie potrafi odpowiedzieć. - Bo tak budowali nasi przodkowie - mówi w końcu kobieta, która zgadza się być naszą przewodniczką. Zaprasza do swego domu.

Zgięci w pół wślizgujemy się niskim wejściem do środka. Nad drzwiami wiszą rogi byka. W miejscu, gdzie w chrześcijańskim domu wisi zwykle krzyż. Bo Toda czczą byka. To ich święte zwierzę. Nie jedzą rzecz jasna krowiego mięsa. Ani żadnego innego, są wegetarianami - ale piją mleko. Święty, życiodajny napój. Mleczarz to najbardziej szacowana funkcja w społeczności Toda - Holy Milkmen - jak mówi nasza przewodniczka.

W jej domu wita nas pachnące ciepło. Pierwsza izba jest kuchnią z prostym paleniskiem na klepisku. Nad płomieniami gliniany komin sięga aż do sufitu. Kobieta miesza w garnku ryż z warzywami. W drugim podgrzewa się *dhal*. Nęcący zapach jedzenia, a pewnie i odgłosy obcych, wywabia z przyległych izb pozostałych członków rodziny. Głównie mężczyzn. Toda to lud poliandryczny, kobieta może mieć wielu mężów. Zwykle od trzech do pięciu i zwykle są to bracia tego mężczyzny, którego kobieta wybrała sobie jako pierwszego męża.

W domu Toda wolno nam wszystkiego dotykać. O wszystko pytać. Zupełnie inaczej niż w przypadku świątyni. Do świątyni nie możemy zaglądać, nie możemy o nic pytać, nie możemy rozmawiać z jej strażnikami. To miejsce dostępne tylko dla Holy Milkmena. To miejsce tabu, a tabu, jak wiadomo, to święta sprawa. Zwłaszcza w kulturach pierwotnych, ginących, w których rozgraniczenie na to, co sacrum, a co profanum, co tajemnica, a co zwyczajność, nadaje sens i porządkuje życie. Naruszenie tej granicy, naruszenie tabu zawsze oznacza ściągnięcie nieszczęścia. Z szacunku dla ludu Toda beczkową świątynię omijamy szerokim łukiem.

W poszukiwaniu aborygeńskiej duszy

Terytorium Północne w Australii to stan czterokrotnie większy niż Polska, a żyje w nim 12 razy mniej ludzi. To jeden z najmniej zaludnionych rejonów świata. Przemierzamy to pustkowie przez wiele dni. Od głównej autostrady Stuart Highway przecinającej kraj z północy na południe odchodzą boczne drogi, już nie asfaltowe, lecz krwawo-piaszczyste, bo ziemia w Australii ma kolor sproszkowanej papryki. Drogi te zagrodzone są metalowymi bramami i opasane łańcuchami. To wjazdy do Aboriginal Land Trust - na terytoria Aborygenów, gdzie obcym wstęp surowo wzbroniony. Ten najstarszy, jak szacują antropolodzy, lud świata, którego historia liczy 50 tysięcy lat, od świata postanowił się odgradzić.

I nic dziwnego. Świat białego człowieka próbował odebrać Aborygenom ziemię. A dla Aborygenów ziemia to coś więcej niż miejsce do życia. Ziemia to przede wszystkim miejsce zamieszkiwania przodków. Bez stąpania zaś

po ziemi przodków, bez łączności z nimi (dlatego Aborygeni chodzą na bosaka) nie ma szans na wejście w Czasu Snu. Czym jest Czas Snu? Jest najświętszym aborygeńskim mitem, aborygeńskim *genesis*.

Czas Snu to czas przed powstaniem świata, gdy wszystkie byty były dopiero tworzone, ale równocześnie także czas obecnie istniejący, równoległy do tego, w którym toczy się życie, czas metafizyczny. Duchowy, szlachetny, czas, w którym zanurzenie się nadaje życiu sens. To dlatego Aborygeni pozbawieni ziemi czują się odzierani z tożsamości i poczucia godności. Gubią się w życiu, w swym przeznaczeniu i poczuciu wartości. Szukają zapomnienia w alkoholu i oparach benzyny, którymi odurzają się wprost z baków samochodów zaparkowanych na poboczach dróg.

Długo szukamy bramy, która zechce się przed nami uchylić. Pomaga nam Sean - ranger handlujący z Aborygenami od lat. Kupuje od nich mięso bawoła wodnego, a w zamian może przyprowadzić białego, któremu zaprzyjaźniona Aborygenka pokazuje, jak przeżyć w buszu. Aborygenka, mogąca mieć równie dobrze lat 20, jak i 40, ma na imię Patsy. Do jej wioski ukrytej w samym środku niczego, wśród chaszczki, billabongów (oczek wodnych będących pozostałością wysychających strumieni), bagien i tabunów komarów przedzieramy się przez polne dróżki. Przez kolejne metalowe bramy, opasujące je łańcuchy, zasieki z drutu kolczastego. Nie jesteśmy tu oczekiwanymi gośćmi.

Patsy nie wita nas wylewnie. Krótkimi, urywanymi zdaniami kontaktuje się tylko z Seanem, a ten tłumaczy nam jej instrukcje. Nie wolno nam patrzeć Patsy w oczy, nie wolno robić zdjęć en face. Nie wolno oddalać się na krok, nie wolno brać niczego do ust, bo wszędzie wkoło jest trucizna. Wolno tylko pytać, ale nie oczekując odpowiedzi, bo Patsy odpowiada wyłącznie wtedy, gdy chce, i mówi tylko to, co chce.

Wędrówka po buszu z Patsy trwa dobre kilka godzin. Uczymy się rozróżniać rośliny do uśmierzania bólu i takie, których sokiem zatruwa się billabongi, by zabić ukryte w nich krokodyle. Zbieramy drewno na ognisko i kwiatki, które palone ratują przed morderczymi komarami. Uczymy się jeść mrówki i złapanego gołą ręką węża. Ale to nie jest najważniejsze. To taka lekcja przeżycia na pokaz. Dla białego. Najważniejsze zaczyna się o zmierzchu. Gdy Patsy z czarnego, plastikowego worka niesionego na plecach wyjmuje ociekającą krwią wątrobę. Staje na skraju dużej polany i wzywa orły. Z jej gardła wydobywa się niskie świstanie. Ptaki reagują natychmiast. Nie wiadomo, czy zwabione znajomym odgłosem, czy zapachem krwi i głodem, ale zaczynają krążyć nad naszymi głowami. Patsy rwie palcami niczym szczypcami wątrobę i podrzuca wysoko w górę. Orły chwytają kawałki w locie. A gdy to się nie udaje, pikują i zgarniają szponami ochłapy z ziemi. Ten przedziwny taniec Patsy i orłów trwa kilka minut. Szum skrzydeł rozcina ciszę. Tak blisko, tak namacalnie, że na twarzy czuć uderzenia fal powietrza. Sean wyjaśnia, że orły to święte ptaki Aborygenów, jedyne, które według ich wierzeń mogą po śmierci zanieść duszę do gwiazd. Patsy karmi orły, karmiąc wędrujące z nimi dusze. To konieczne, zanim przystąpi się do przyrządzania stawy dla ciała.

Patsy szykuje dla nas mięso bawoła wodnego pieczone tradycyjną, aborygeńską metodą. Na rozpalonych kamieniach i w popiele. Wraz z nastaniem zmroku wszystko się zmienia. Patsy ożywa. Tak, jakby ciemność chroniła jej duszę, jakby nie obawiając się spojrzeń obcych i ich aparatów fotogra-

Aleksandra i Jacek Pawlicy
- podróżnicy, dziennikarze,
ostatnio w tygodniku
„Newsweek”. Autorzy
(Aleksandra - tekst, Jacek
- zdjęcia) książki
„Światoholicy.
We dwoje od Wyspy
Wielkanocnej po Ziemię
Ognistą, od Laponii po
Papue. 6 kontynentów,
60 krajów w 20 lat” (2012).

ficznych, mogła się wreszcie otworzyć.

Opowiada o ojcu szamanie, który zginął, gdy wyciągał „złego” z jej brata. Opowiada o złu, które zawsze jest blisko i zawsze czai się za naszymi plecami, ale jeśli ma się w sobie jasność, to nie będzie mieć do nas dostępu. - Tylko że ludzie często gubią w sobie jasność, a wtedy zło ma otwartą drogę do człowieka - mówi Patsy i dodaje: - Trzeba bardzo uważać, bardzo uważać. Trzeba żyć tak, aby nie otwierać złu drogi do siebie.

Odprowadzamy Patsy do wioski. Jej granicę wyznaczają bawole czaszki rozrzucone na trawie między drzewami i głos aborygeńskich tręb *didgeridoo* wzywających do powrotu. Poza tę granicę wchodzić nie możemy. My, ludzie w butach, nie możemy bezczęścić intymności ziemi ludzi chodzących na bosaka. W ciemności żegnamy się z Patsy. Po raz pierwszy nasze ciała się dotykają. Uścisk jej dłoni jest mocny.

Podglądanie szamanki

W sąsiedztwie Palenque, gdzie tłumy turystów ciągną, by obejrzeć jedne z najpiękniejszych meksykańskich piramid, żyją w zapomnianych wioskach potomkowie ich budowniczych. Potomkowie Majów ze stanu Chiapas. Ludzie niezwykle przywiązani do swych wierzeń.

Javier pracuje jako taksówkarz w San Cristobal de Las Casas, ale dla znajomych jest po prostu kierowcą, który w razie potrzeby wozi chorych do szamanki. Do odległego o kilkanaście kilometrów małego miasteczka w górach zamieszkanego przez Tzotzili - podgrupę Majów, z której wywodzi się Javier. Położone wśród wzgórz porośniętych tutejszą odmianą sosny, ciche i senne, zatrzymało się w czasie. Życie jego mieszkańców, choć używających telefonów komórkowych, toczy się wciąż na głównym targu. Konie mieszają się na ulicy z samochodami, a centralnym punktem miasteczka jest bielony kościół. Tak właśnie wygląda Chumula.

Do kościoła wstępu nie mają obcy, chyba że zakupią w radzie miejskiej specjalny bilet wstępu i podpiszą zobowiązanie, że niczego nie będą filmować, fotografować ani zakłócać spokoju tego miejsca. Miejsca ze wszechmiar niezwykłego. W kościele w Chumuli urzędują bowiem *curanderos*, czyli uzdrowiciele, a właściwie uzdrowicielki, bo to kobiety zwykle pełnią rolę szamanek.

Kościół w Chumuli jest pod wezwaniem San Juana, chrześcijańskiego świętego, bo ta świątynia to zadziwiające połączenie chrześcijańskiego kościoła i przybytku szamanów. Raz w miesiącu mszę odprawia przyjeżdżający tu ksiądz. Chrzci, spowiada, daje śluby. Na co dzień zaś urzędują mieszkańcy. Na plebanii ulokowała się starszyzna miejska, która czuwa nad harmonogramem porządków i świąt. Najważniejsze jest rzecz jasna święto św. Jana z Chumuli. - Taki święty jest tylko jeden, jedyne na świecie, jest więc dla nas najważniejszy - tłumaczy Javier. Dlatego San Juan stoi na głównym ołtarzu, a wszyscy pozostali święci, z ukrzyżowanym Jezusem włącznie, wzdłuż obu ścian kościoła. - Bo oni są w kościołach na całym świecie. Nie są niepowtarzalni. Oni są zwykli - wyjaśnia Javier. Jednak i wśród tych zwykłych panuje swoista hierarchia. Potomkowie Majów ustawiają figury męskich świętych po lewej stronie od serca. A święte i tych świętych, którzy nie dokonali żadnego cudu, jak choćby św. Franciszek, po prawej. Inaczej mówiąc, ci po prawej są świętymi gorszego sortu. Im nie należy się zdobna szata ani peruka z prawdziwych włosów, w jakie przybrane są figury z lewej.

Ci z prawej są drewniani, ubożuchni i smutni. U potomków Majów bycie świętym nie jest łatwym chlebem.

To jednak, co w kościele w Chumuli najważniejsze, odbywa się na środku. Nie ma tu ławek ani krzesel. Modlący się siedzą bezpośrednio na podłodze. Cała posadzka wysypana jest świeżym igliwem, jego żywiczny zapach unosi się w powietrzu. Na posadzce stoją też rzędy świec. Specjalne grupy sprzątaczy cały czas wymiatają wędnące igliwie i wysypują z koszy nowe. Zbierają też dopalające się świece, w miejsce których wierni natychmiast stawiają kolejne. Zamiast śpiewów - zawođenje starych kobiet i gdakanie kur przywiązanych sznurkiem do wielkich koszy przynoszonych przez wiernych.

- Usiądźcie i patrzcie - szepce Javier. Przysiadamy jak on na piętach. Obok starej Indianki przykuca młoda dziewczyna z kwilącym maleństwem w ramionach. Towarzyszący jej mężczyzna, najprawdopodobniej ojciec dziecka, rozstawia wokół kobiet krąg świec. Jedna przy drugiej. Jakby świetlisty krąg miał ochronić kobiety i dziecinę, oddzielić ich od świata.

Szamanka sięga po przyniesionego przez rodziców koguta, unosi go w dłoniach nad sobą. Jej stare ciało jakby nagle ożywa, młodsze. Unosi się ku górze i opada. Faluje i wygina się w łuk. Szamanka co chwilę pociąga spory haust poshu - bimbru pędzonego z kukurydzy. Z każdego łyku część płynu rozpyła ustami wokół. Przepędza w ten sposób złe duchy. Zawodzi, na jednym wydechu wyrzuca z siebie litanie wszystkich świętych.

Kogut w dłoniach szamanki wlatuje coraz wyżej. Tylko jednak po to, by po chwili opaść, muskając skrzydłami twarz dziecka i wzbijając tumany igliwia z podłogi. Dziecko drze się wniebogłosy. Powietrze wokół zamkniętych w kręgu świec kobiet zdaje się wirować. Ojciec wciąż zapala nowe świece. Bez przerwy. Jedna za drugą. Jedna za drugą. Ile ich już płonie - sto? Dwieście? Trudno zliczyć. Krąg liczy kilka obręczy. Chroni, kumuluje energię. Jest oczywiste, że nikt nie śmie się do tego kręgu zbliżyć. Wszyscy jednak niczym przyciągani magnesem skupiają wzrok na oglądaniu tego niezwykłego spektaklu. Kobiety - szamanka i matka - znajdują się wewnątrz niewidzialnej, sferycznej kuli, w której rozgrywa się walka. Walka dobra ze złem. Siły z niemocą. Uzdrawienia z chorobą.

Gdy krzyk dziecka zdaje się rozbijać już każdy atom powietrza, szamanka unosi koguta wysoko w górę. Jego ciało spoczywa w jej lewej ręce. Prawa ręka mocno zaciska się na szyi gdaczącego ptaka. I nagle wszystko ucicha. Gdakanie koguta, płacz dziecka, drganie powietrza. Krople krwi rozbryzgują się w ciszy jak na zwolnionym filmie. Kilka z nich spada na główkę maleństwa. Ciało ptaka dogorywa w śmiertelnych drgawkach. A jego urwana przez szamankę głowa zwisa z jej wyciągniętej wysoko w górę ręki. Uleczenie zostało dopełnione.

Kogut w tym rytuale uosabiał chorobę, i to w jego ciele została ona zabita. Teraz niczym szczepionka musi zostać przez dziecko zjedzona, by dać mu odporność już na całe życie. Rodzice zabierają martwego koguta. W domu ugotują z niego rosół. Szamanka skulona w pałąk klęczy na posadzce. Wokół dopalają się kręgi świec. Sprzątacze już zbierają z ziemi plamy wosku z topiących się świec. Wymiatają igliwie, wymieniają na świeże.

Po drugiej stronie nawy inna *curanderos* szykuje się do szamańskiego obrządku. My jednak musimy już opuścić świątynię. Nasz czas w tym miejscu dobiegł końca. Gdy wychodzimy z mrocznego wnętrza, palące słońce niemal nas oślepia. Przez kilka minut musimy przyzwyczajać wzrok do blasku

dnia. Javier prowadzi nas do położonego obok kościoła, blisko miejsca, w którym kupowaliśmy bilety, rządowego punktu pomocy medycznej. Jest zamknięty na cztery spusty. - Miejscowy lekarz nie ma tu nic do roboty - śmieje się Javier.

Śmierć rządząca życiem

Śmierć jest sferą tabu we wszystkich kulturach, niezależnie od szerokości geograficznej. A rytuały pogrzebowe są próbą tego tabu oswojenia. Wszędzie, gdzie docieramy, staramy się brać udział w ceremonii pogrzebowej. Bo zrozumieć, jak inni radzą sobie z tajemnicą śmierci, to zrozumieć, co w ich życiu jest najważniejsze.

Na najbardziej niezwykły rytuał śmierci natrafiamy na indonezyjskiej wyspie Celebes. Stworzył go i celebrytuje po dziś dzień lud Tana-Toraja, który przybył tu przed wiekami na łodziach. Najprawdopodobniej z terytorium Indochin. Domy Torajów wciąż budowane są w kształcie łodzi, z dachami niczym wygięte na wietrze żagle. Torajowie przyjęli wprawdzie chrześcijaństwo od holenderskich kolonizatorów, ale wierząc w Chrystusa, nie odstąpili ani na krok od swoich przedziwnych rytuałów śmierci. Rytuałów, które sprawiają, że Torajowie żyją, aby umrzeć.

Organizacja pogrzebu jest najważniejszym wydarzeniem w życiu tego ludu, a czas Torajów liczy się od pogrzebu do pogrzebu.

Gdy umiera Toraja, rodzina szykuje dla niego specjalne miejsce w południowej części domu. Bo południe to strona ludzka. Północ - niebiańska i tam trumna ze zwłokami jest przenoszona dopiero w dniu pogrzebu. Do tego czasu może upłynąć wiele dni, czasami lat, bo rodzina musi zebrać fundusze na organizację ceremonii. Do dnia pogrzebu zmarły traktowany jest przez najbliższych jak chory. Przynosi się mu trzy razy dziennie posiłki, stawiając je obok trumny. Odwiedzają go przyjaciele. Panuje przekonanie, że jeśli odwiedzający przychodzi w złych intencjach, aby zakłócić spokój zmarłego-chorego, to ten puszcza smrodliwego bąka, czyli ulatniają się gazy z rozkładającego się ciała.

Dawnej w trumnach montowano dwie bambusowe rury. Jedna przymocowana do górnego wieka i wychodząca przez dach odprowadzała gazy. Druga, dolna, wychodząca z dna trumny i przechodząca przez podłogę, odprowadzała ściekającą limfę. Według podań zbierano ją do miseczek i dodawano do jedzenia. Dziś takich praktyk zaniechano. Zwłoki balsamuje się zastrzykami z formaliny. Dawniej do tego celu służyła mielona kawa. Trumny są szczelne, kiedyś były pniami wydrążonych drzew. Niemniej wciąż ten czas, gdy zmarły-chory przebywa w domu, jest czasem tabu. Do domu, w którym przetrzymywane są zwłoki zmarłego-chorego, nie może wchodzić obcy. I zakazu tego wszyscy bardzo skrupulatnie przestrzegają. Obcy mogą brać udział w samym pogrzebie, który musi trwać minimum trzy dni, ale może i trzy tygodnie. By go rozpocząć, rodzina musi przygotować grób, czyli wykuć w pionowej skale niszę. Kilkanaście metrów nad ziemią. Musi również ufundować *tau-tau* - drewnianą figurę będącą podobizną zmarłego. *Tau-tau* w języku Toraja oznacza: „wyglądają jak ludzie”. Rzeźby mają prawdziwe okulary, jeśli zmarły je nosił, złote zęby, jeśli takowe posiadał, siwe włosy, jeśli dożył sędziwego wieku. *Tau-tau* to dzieła miejscowych artystów, a ich ceny na antykwarycznym rynku sięgają pięciu tysięcy dolarów.

Sam pogrzeb to również kosztowna impreza. Rodzina zabija minimum trzy bawoły. Przybywające na ceremonię klany przynoszą w darze czarne świnię. Kupuje się je na pogrzebowych bazarach. Sprzedawane są na bambusowych noszach, do których przytroczone żywcem, kwiczą niemiłosiernie.

Pogrzeb odbywa się w specjalnie do tego celu zbudowanej wiosce pogrzebowej. W jej sercu, na centralnym placu, odbywają się rytualne śpiewy i tańce. Na obrzeżach wioski trwa rytualna rzeź. Krew zabijanych zwierząt leje się obficie. Trawa ma tu rudy odcień. Wnętrznosci z rozpruwanych brzuchów rozwieszane są na gałęziach. Flaki i wątroby zwisają więc z drzew niczym martwe owoce śmierci. Pogrzeb Toraja to miejsce, gdzie sacrum i profanum miesza się na każdym kroku. Gdzie życie na każdym kroku obcuje ze śmiercią.

Bull jumping w dorosłość

U różnych ludów różne obrzędy mają szczególne znaczenie. U indonezyjskich Torajów jest to pogrzeb, a u większości ludów Afryki - rytuał inicjacji chłopca w wiek męski. Dla żyjących w etiopskiej Dolinie Omo Hamerów nie liczą się narodziny, nieistotna jest śmierć. Ważna jest chwila, gdy Hamer staje się mężczyzną.

Czeka na nią każdy chłopiec i każda dziewczyna. Pomyślnie przejście inicjacji oznacza bowiem przyzwolenie na wybór żony. A każda Hamerka chce być pierwszą żoną. Tą, która ma prawo noszenia wielkiego naszyjnika z bolcem, i tą, której będą usługiwać wszystkie kolejne żony, przyprowadzane w następnych latach przez męża z targów i z buszu.

Hamerski rytuał inicjacji zwie się *ukuela*, lub z angielska *bull jumping*. Polega na przeskoczeniu po grzbietach byków nasmarowanych łajnem, by trudniej było utrzymać równowagę. Kandydatowi na mężczyznę nie można w tym pomagać, nie może mu się ześliznąć noga, nie może spaść, nie może na nikogo liczyć. To jego próba z samym sobą.

Na hamerski bull jumping najłatwiej trafić w okolicach miasteczka Dimeka w południowej Etiopii. To właśnie tu znajduje się słynna Dolina rzeki Omo, będąca domem wielu pierwotnych plemion. Hamerowie należą do jednego z najliczniejszych, co jednak nie znaczy, że *bull jumping* jest turystyczną atrakcją na każde zawołanie. Trzeba się nieźle natrudzić, by przy pomocy lokalnego przewodnika znaleźć w buszu miejsce, w którym odbywa się ceremonia. My naszej szukaliśmy ponad dwie godziny, choć w linii prostej odbywała się zaledwie parę kilometrów od miasteczka. Wokół miejsca ceremonii nie ma nic, żadnej wioski, żadnych chat. Tylko zbudowana prowizoryczna wiata dla starszyny i płonące ogniska, na których matka przechodzącego próbę młodzieńca warzy kawę i piwo z sorgo.

Ceremonia zaczyna się wiele godzin przed skokami. Przybywają na nią całe wioski. Kobiety zaczynają tańce. Ich boscie stopy wzbijają tumany czerwonego kurzu. Przytroczone do ich kostek dzwonki wprawiają powietrze w rytmiczne drgania. Kobiety biegają z miejsca w miejsce, prowokują mężczyzn, wyzywając ich od impotentów, obrzucając obelgami. W ten sposób próbują sprowokować ich do chłosty. Kobiety chcą być chłostane wtkami rozcinającymi ich skórę. Plecy Hamerek tego dnia ociekają krwią. Im więcej ran, tym bardziej namacalny dowód, że dana kobieta jest wytrzymała, że jest dobrą kandydatką na żonę. Blizny, czyli skaryfikacje, będą nosić przez

całe życie z dumą jako dowód swej odwagi. Skaryfikacje to jeden ze sposobów zdobienia hamerskich ciał.

Gdy słońce zaczyna chylić się ku horyzontowi, na miejsce ceremonii przybywają wioskowe starszyny oraz przyjaciele głównego bohatera. Każdy z młodzieńców prowadzi swego byka. Bo Hamer od najmłodszych lat wychowuje się z bykiem, niczym z bratem. Nosi trzy imiona - nadane mu przez matkę w chwili urodzenia, imię kozy, której mleko ssie prosto z wymienia jako dziecko, i imię swojego byka.

Na miejscu ceremonii rozjuszone tumultem byki kręcą się niespokojnie, ale młodzi Hamerzy potrafią uspokoić zwierzęta. Każdy daje swojemu bykowi do ssania pięść niczym smoczek. To ułatwia ustawianie byków w szereg. Bok przy boku. Wszystkie bycze głowy są obok siebie. Zadki również. Dla utrzymania zwierząt w miejscu pomocnicy chwytają zwierzęta za ogon, napinając go niczym strunę. Bycze grzbiety tworzą most. Otacza je zwarty krąg widzów - krwawiących i rozkrzyczanych Hamerek. Podskakujących na długich, wymalowanych we wzory kredą nogach Hamerów. Mężczyźni w wyciągniętych w górę rękach trzymają karabiny. Kałasznikow to przedłużenie ręki Hamera. I nie są to atrapy. Hamer potrafi zabić. Gdy jego byka zaatakuje dziki zwierz lub ludzki złodziej, Hamer strzela. Ten, który zabił w ostatnim roku, nosi na głowie specjalny pompon. W falującym wokół byków tłumie nie brakuje mężczyzn z pomponami.

Oczekiwanie jest tak wielkie, że niemal wyczuwalne na skórze, która cierpi mimo trzydziestu stopni ciepła. Afrykański zmierzch jest gorący. Dodatkowo rozgrzewają go gwizdy, krzyki, dzwonki, strzały w niebo, porykiwania byków. Kurz, zapach krwi i spoconych ciał, ochra mieszająca się z kredą. Gdy słońce wysła ostatni promień pożegnania, w krąg wbiega zupełnie nagi mężczyzna. Z rozpędu wskakuje na grzbiet pierwszego z byków. Pokonanie kilkunastu byczych grzbietów zajmuje mu parę sekund. Robi zeskok, w tył zwrot i znów jest na bykach. Gna w drugą stronę. Jego napięte mięśnie nóg i pośladków mogłyby służyć studentom medycyny za lekcję anatomii. Widać każde włókno, każdą żyłę. Znów zeskoczył, wskoczył i tak minimum cztery razy. Nasz skoczek przebiega po grzbietach byków sześć razy! Tłum wiwatuje. Młodzieniec jest mężczyzną. Tej nocy wybierze sobie żonę. Gdy zmrok otula uczujących Hamerów, musimy opuścić ceremonię. Ten czas jest już wyłącznie dla Hamerów. Zostaną w buszu całą noc, a może i kolejne trzy doby. My zaś wrócimy do jedynej na krańcach Doliny Omo hostelu.

To, co robimy podczas podróżowania po świecie, to podglądactwo. Pełne nienasycenia i świadomości, że daleko nam do odkrywania tabu. Ale pełne również szacunku do innych kultur, pełne wdzięczności za każdy uchylony przed nami rąbek tajemnicy. *First nations* czy *native people*, jak pierwszych mieszkańców danej ziemi nazywają naukowcy, zachowali pierwotną moc przeżywania swoich obrzędów, coś, co człowiek Zachodu dawno utracił, z premedytacją zacierając granicę między sacrum a profanum. Zbliżanie się do tej pierwotnej mocy jest fascynujące. Jak zbliżanie się do tabu.

Aleksandra i Jacek Pawliccy, *Newsweek*



Marsylia, październik 2012 roku. Te kobiety całują się na oczach osób demonstrujących przeciw ustawie legalizującej małżeństwa jedнопłciowe i umożliwiającej im adopcję dzieci. 18 maja prezydent Francji François Hollande podpisał tę ustawę, spełniając tym samym obietnicę wyborczą. Francja stała się 14. krajem na świecie, który umożliwił jedнопłciowym parom zawarcie małżeństwa cywilnego.

Fot. Gérard Julien/AFP/East News

“

Ona

”

**Karolina
Stankiewicz-Kwiatkowska**

☼ Ma swój babski świat z zasadami, których przekraczać nie wolno pod groźbą wykluczenia. Od świata mężczyzn oddziela go bariera, której łamać nie należy



☼ A co się dzieje, gdy ON i ONA zaczynają żyć razem? ☼ Co ich dzieli, a co łączy? ☼ Jak godzą tradycję z nowoczesnością?

“

On

”

**Karol
Kwiatkowski**

☼ Ma swój męski świat z zasadami, których przekraczać nie wolno pod groźbą wykluczenia. Od świata kobiet oddziela go bariera, której łamać nie należy



Z Karoliną
Stankiewicz-Kwiatkowską
rozmawia
Aleksandra Pawlicka
Z Karolem Kwiatkowskim
rozmawia Jacek Pawlicki
Fotografie Piotr Wójcik

Aleksandra Pawlicka: Co znaczy być kobietą romską?

Karolina Stankiewicz-Kwiatkowska: To znaczy żyć według zasad Romanipen - niepisanego kodeksu zachowań, którego uczyły mnie moja babcia i mama. Dzięki temu wiem, co znaczy być prawdziwą kobietą romską.

Czyli?

- Kobieta romska przede wszystkim podtrzymuje ognisko domowe. Jestem mamą, żoną i Romką, albo Cyganką, jak kto woli. Z perspektywy dziecka wydawało mi się absolutnie naturalne, że mama uczy mnie żyć zgodnie z tradycją. Gdy jednak stałam się dorosłą, zaczęłam postrzegać Romanipen jako coś, czego mi nikt nie zabierze. To jest moje, to tworzy moją tożsamość. I wiem, że byłoby dla mnie tragedią, gdybym musiała zrezygnować z życia według romskich zasad. Zasymilować się jest dla mnie sprawą niedorzeczną. Tak jestem wychowana, to ułatwia mi życie.

Czego nauczyły panią mama i babcia?

- Jak być kobietą, która będzie dobrą żoną i matką. Uczyły mnie, jak się ubierać i jak przyrządzać posiłki w sposób romski.

Jak więc powinna się ubierać kobieta romska?

- Godnie, nie pokazywać więcej, niż przyzwoitość nakazuje. Nie noszę mini, bo po prostu wiem, że spódnica powinna być dłuższa, a ramiona okryte szalem, jeśli dzień jest upalny i chodzi się w krótkim rękawku. Nigdy też nie noszę spodni.

Cyganki nosiły kiedyś wiele spódnic i służyło to zakryciu tego, co nieczyste, a nieczyste według Romanipen jest wszystko od pasa w dół.

- Jestem normalną babką, chodzę w jednej spódnicy. Oczywiście, gdy idziemy na przyjęcie romskie, to mój strój jest strojniesz, ale niekoniecznie będzie składał się z wielu spódnic, z którymi kojarzone są Cyganki. Bo nigdzie nie jest napisane, ile spódnic ma mieć Cyganka. Czy ile halek. Dziś bardziej polega to na tym, żeby nie nosić ubrań prześwitujących, wyzywających. Mnie widok kobiet przechadzających się półnago po ulicach razi.

Bo to jest sprzeczne z zasadami Romanipen?

- Cieleśność u Romów objęta jest największym tabu. To sfera, która powinna zostać między dwojgiem ludzi. Między żoną i mężem. To dlatego u nas, gdy chłopak porwie dziewczynę i dojdzie między nimi do zbliżenia, automatycznie uznaje się, że są mężem i żoną. Te porwania są w cudzysłowie, bo młodzi ludzie zwykle się ze sobą umawiają. Chcą być razem, chcą dać sobie to, co można dać tylko tej jedynej drugiej osobie i nikomu innemu. Dlatego jak każda Cyganka nie lubię, gdy inne kobiety afiszują się ze swoją cieleśnością.

Co to znaczy, że cieleśność jest objęta największym tabu? Chodzi o ciało w ogóle, czy kuszenie ciałem, seks?

- Ja nawet w rozmowie z panią nie mogę używać pewnych słów. Pewne wyrazy są nie do wypowiedzenia publicznie. One są tabu. Mogę użyć ich w rozmowie z mamą, ale nie z osobą obcą, osobą spoza kultury romskiej.



“
Najpierw czuję
się człowiekiem,
potem Romem,
a następnie
Polakiem

”

Jacek Pawlicki: Co to znaczy być Romem?

Karol Kwiatkowski: Romem się jest, bo żyje się jak Rom. To znaczy przestrzega się wszystkich zasad kodeksu Romanipen. Nie można być Romem po prostu z urodzenia. Kto nie zachowuje się jak Rom, jest tylko z pochodzenia Romem. Dla mnie romskość jest tak naturalna jak poranna kawa.

Czuje się pan bardziej Romem czy Polakiem?

- Najpierw czuję się człowiekiem, potem Romem, a następnie Polakiem. Mieszkam w Polsce, ale moim narodem są Romowie.

Romanipen powstawał przez wieki. Czy łatwo się go trzymać w XXI wieku? Jak się mają różne zapisane w nim tabu do przemian cywilizacyjnych?

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. My, Romowie, też idziemy z postępem, ale zgodnie z naszym kodeksem. On nas nie ogranicza, tylko wzbogaca, bo każda inność wzbogaca.

A czy Romanipen nie stoi na drodze postępu? Czy da się np. pogodzić z państwowym obowiązkiem szkolnym?

- Z edukacją nie miałem problemów. Co prawda z początku nie lubiłem polskiej szkoły, bo część dzieciństwa spędziłem w Niemczech, gdzie bardziej mi się podobało, ale z czasem przyzwyczałem się. Szkolna edukacja nie miała złego wpływu na moje romskie wychowanie, i odwrotnie. Wydaje mi się nawet, że było ciekawiej z tego powodu, że w szkole demonstrowałem swoje zasady. Zresztą byłem zapalonym sportowcem, pochłaniała mnie gra w piłkę – reszta niespecjalnie mnie obchodziła.

Co jest największą hańbą dla Roma?

- Kodeks Romanipen trzeba traktować całościowo i żyć zgodnie z nim. Są oczywiście grube wykroczenia, ale rzecz w tym, by przestrzegać także tych „małych” postanowień. Albo przestrzegasz całość, albo nie. Jak ktoś łamie drobne postanowienia, to też jest to pewnego rodzaju hańba, choć może to zbyt mocne słowo.

A zabójstwo?

- Za to jest się wykluczonym, podobnie jak i za okradanie innych.

Gwałt?

- To też wielkie wykroczenie, za które można zostać wykluczonym. Za straszne przestępstwa jest straszna kara.

A jeśli Rom bierze narkotyki albo jest hazardzistą?

- Narkotyki są niedopuszczalne - nawet jak zapali się jointa, jest się wykluczonym. A hazard? Zależy jaki. Jeżeli Rom pojedzie do kasyna i przegra sto euro i stać go na to, to nie ma problemu.

A jak przegra cały majątek?

- To rodzina ma problem.

Czy dalej całujecie starszych w rękę?

A w rozmowie z tatą?

- Ja z moim tatą jestem bardzo związana, dużo z nim rozmawiam, ale o sprawach zawodowych, o sprawach naszej rodziny, nawet o macierzyństwie, o tym, jak wychowywać dzieci. Jednak o tym, jak przygotować się do małżeństwa, do bycia żoną i zostania matką, o tym rozmawia się już tylko z kobietą.

Czy matka Romka przygotowuje córkę na pierwszą miesiączkę, rozmawia z nią o tym?

- Miesiączka jest jednym z tych słów, których nie chcę publicznie używać. Tak jak mówiłam, wszystko, co dotyczy cielesności, jest tematem tabu. Z tego powodu Romowie, przynajmniej z mojej grupy Polska Roma, nie wykonują zawodów związanych z ciałem - nie są na przykład lekarzami, pielęgniarkami. Nie znam żadnego lekarza wśród polskich Romów, bo my nie wyobrażamy sobie, by Rom mężczyzna badał kobietę. Sfera intymności za-rezerwowana jest dla najbliższych.

A gdy kobieta rodzi dziecko, to idzie do szpitala?

- Idzie, oczywiście, że idzie. Żyjemy w XXI wieku, ale i to da się tak zorganizować, by rodzącą kobietą zajmowały się kobiety - lekarki, położne. Jeśli zdarzy się inaczej, nie ma dramatu, najważniejsze jest życie, ale to dla nas sytuacja bardzo niekomfortowa.

Powiedziała pani, że cielesność to sfera tabu i z tego powodu nie wykonujecie pewnych zawodów. Czy dotyczy to tylko cielesności osób żywych, czy także zmarłych?

- Także zmarłych. Ciałem zmarłego Roma zajmuje się zawsze rodzina. Nie oddajemy naszych zmarłych do kostnic czy domów pogrzebowych. Oni pozostają z nami w domach. Przygotowaniem zmarłego do pogrzebu zajmują się kobiety - matki, żony, córki. W przypadku zmarłych mężczyzn czasami pomaga syn lub ojciec, ale generalnie mężczyźni odpowiadają za organizację uroczystości, przygotowanie karawanu, a kobiety za opiekę nad zmarłym i żywymi, którzy licznie zjeżdżają na uroczystość. Bo dla nas pogrzeb to oddanie największej czci osobie, którą żegnamy. O tym, że ktoś umiera, dowiadujemy się natychmiast i nieważne jest, co w danej chwili robimy, jakie mamy obowiązki i zobowiązania. Rzucamy wszystko i jedziemy wspomóc rodzinę, która straciła bliską osobę. Ofiarujemy wspólnotę tej ostatniej chwili. Jesteśmy opiekuńczy i pomocni. Jesteśmy razem. Trumny nie niosą obcy. Zawsze ktoś z rodziny, choć nie synowie, wnukowie czy ojciec, bo wówczas śmierć mogłaby przejść na osobę będącą w zbyt bliskiej relacji ze zmarłym.

Romanipen dotyczy także ubrań. Podobno obowiązuje zasada, że oddzielnie należy prać ubrania męskie i kobiece? Podobno zaleca się używanie nawet oddzielnych pralek, więc w romskich domach są dwie pralki?

- W naszym jest jedna. U mnie w rodzinie zawsze była jedna, ale faktem jest, że mężczyzna nie zajmuje się praniem, bo to element zajmowania się ogniskiem domowym. Dla mnie to byłoby nefajne, gdyby mój mąż prał, dotykał moich brudnych rzeczy. Polacy mówią, że Romowie dyskryminują Cyganki, na nic im nie pozwalają, a to nieprawda. Nieprawda, że nie mo-



“
Jestem mamą
żoną i Romką,
albo Cyganką
jak kto woli



- Tak, z szacunku dla nich. Nie czuję ani krztyny wstydu, kiedy w jakimś gronie siedzi starszy Rom, a ja go całuję w rękę. Co więcej, źle bym się czuł, gdybym tego nie zrobił. To samo dotyczy picia alkoholu i wznoszenia toastów.

A jak Rom upije się do nieprzytomności, to co?

- To łamie kodeks Romanipen, bo jak mawiał mój dziadek, wódkę pije się głową, a nie ustami. Pijemy, by coś uczcić, by oddać komuś szacunek, ale nie pijemy, by się upić.

Mężczyźni wypadają prac?

- Absolutnie nie.

A zmywać naczynia?

- Też nie, ja tego nie robię. Są pewne rzeczy, które pozostają domeną kobiet, i to jest element kultury, a nie dyskryminacja. Romskim kobietom nie przeszkadza to, że tylko one piorą i gotują.

A jeśli Rom lubi gotować, bo to jego pasja, to co - wykluczacie go?

- Nie, są Romowie, którzy gotują. Jak ma dobry smak, to nikt z tego powodu nie będzie robił problemu. Nie popadajmy ze skrajności w skrajność.

A jak widelec upadnie?

- A więc pan wie! Nie podnosimy go i nie używamy, tylko przeznaczamy do mycia. Ktoś może zachodzić w głowę, ile ci Romowie mają zapasowych sztućców, ale dla nas to jest część naszej kultury. Podłoga jest nieczysta. Takie przekonanie pochodzi jeszcze z Indii, skąd Romowie się wywodzą. Po podłodze chodzi się stopami, więc coś, co tam spadnie, staje się nieczyste.

Podczas uroczystości i przyjęć kobiety i mężczyźni siedzą oddzielnie?

- Nie mieszamy towarzystwa i stolików. Co więcej, choć jestem młodym człowiekiem, to uważam, że to nie jest potrzebne. Nasze rodziny są porzucane po całym świecie, więc jak spotykamy się na różnych uroczystościach, to chcemy pogadać z kuzynami, a nie np. z żoną, którą mamy na co dzień. A kobiety zawsze znajdują do rozmowy jakąś koleżankę czy siostrę. Poza tym facet zawsze lepiej dogaduje się z facetem na męskie tematy, na przykład takie jak samochody. Podobnie jest z piciem alkoholu.

Czyli z żoną pić nie można?

- Można, po lampce wina, ale nie tak jak mężczyzna z mężczyzną.

A jak żona publicznie drwi z męża, albo zwraca mu niegrzecznie uwagę, mówiąc, że nie ma racji, bo jest głupi?

- Nasze kobiety są bardzo subtelne, wiedzą, co kiedy można powiedzieć, a kiedy lepiej trzymać język za zębami. Jak się z nami w czymś nie zgadzają, to mówią nam to w cztery oczy, nie podważając naszego autorytetu w oczach innych. W towarzystwie wystarczy, że małżonkowie na siebie spojrzą i wiedzą, co i jak. Kultura romska jest subtelna - nie musimy wszystkiego mówić, dużo odczytujemy z gestów, z mimiki twarzy. W każdej naszej wypowiedzi jest drugie, trzecie, a może i czwarte dno.

żemy pracować, robić kariery, decydować o sobie. Jestem najlepszym przykładem, że jest dokładnie inaczej. Skończyłam studia, założyłam z mężem firmę. Świat poszedł do przodu i trzeba w nim funkcjonować. Większość romskich dziewczyn chce dziś kończyć szkoły i coś w życiu osiągnąć.

A da się pogodzić zasady Romanipen z państwowym obowiązkiem szkolnym?

- Nie miałam z tym żadnych problemów – po prostu poszłam do szkoły, to było naturalne. Miałam dobrych nauczycieli. No, może poza jednym wyjątkiem: w pierwszej klasie liceum pani wychowawczynie stwierdziła, że nie powinnam się uczyć, tylko założyć rodzinę. Wtedy zmieniłam szkołę. A tej pani powiedziałam, że współczuję jej uczniom. Dla mnie to było dobre doświadczenie – nauczyłam się, że są różni ludzie i że trzeba umieć się bronić. Niestety, wiem, że dzisiaj dzieci romskie w szkole nie zawsze czują się dobrze, bo polski system edukacji – skostniały, z poprzedniego systemu - nie jest przygotowany do wielokulturowości.

A czy Romanipen przewiduje kary wymierzone przez męża żonie za złamanie tabu? Sprzeniewierzenie się zasadom?

- Niedawno przeczytałam pracę pewnej pani profesor, w której cytuje wypowiedź Roma o ogoleniu za karę kobiecie głowy. Może kiedyś i tak było, może zdarzało się, że mąż, chcąc ukarać żonę, obcinał jej włosy, ale to nie jest wyznacznikiem kanonu. Naukowcy, którzy zaczynają się interesować naszą kulturą, próbują ją opisać, bo Romanipen, nasz kanon, to nie jest zestaw spisanych zasad. U nas ważne jest słowo mówione, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jest bardzo mało źródeł opisujących „prawdziwość” naszej kultury. I myślę, że ten Rom mówiący o goleniu głowy za karę chciał tę panią profesor podpuścić, wprowadzić w błąd, by ukryć prawdę o Romanipen przed światem.

Użył słowa, by chronić inne słowo?

- By chronić słowo najważniejsze. Słowo naszych zasad. My bardzo cenimy słowo, na przykład obietnicę. Jeżeli Rom powie, że będzie czekać, to będzie, bo jeśliby nie czekał, to znaczy, że coś z tym Romem jest nie tak. U nas dane słowo jest święte. To słowo honoru. To jest podstawa. Dlatego gdy pani pyta o te włosy i ich obcinanie, to z nimi też tak jest.

Jak?

- Kobiety romskie po prostu nie chodzą w krótkich fryzurach, bo to nie przystoi kobiecie. Nie chodzą też z rozpuszczonymi włosami, tylko związanymi, bo to oznaka skromności i zadbania. Niezależnie od tego, czy się jest panną czy mężatką. U nas to po prostu wiadomo, nie trzeba nikomu obcinać za karę włosów, by było powszechnie wiadomo, że krótkie włosy kobiecie nie przystoją. Nie trzeba tego obwarowywać prawem, bo prawo jest w nas. Kobieta dobrze wie, że jak zacznie zachowywać się niegodnie, to będzie negowana nie tylko przez męża, ale i przez całą rodzinę. Jej złe zachowanie będzie ujmą na honorze całej rodziny. Nie wyobrażam sobie, że miałabym się źle zachować, bo wtedy musiałaby cierpieć moja rodzina. Taka rodzina jest odsuwana na bok.



“
Ja też
„porwałem”
moją żonę.
A tak naprawdę
umówiliśmy się
i staliśmy się
małżeństwem



Kto uczył pana tych subtelności, całej tej romskości?

- Ojciec, dziadek, ciocie, wujek. Tak nas wychowano - widzieliśmy, jak się zachowuje babcia, dziadek, wujek, ojciec. Przykładowo: jak ktoś się upił na jakimś przyjęciu, to potem w rodzinnym gronie powiadano nam, że tak nie można, bo to wstyd dla całej rodziny.

A bicie dzieci?

- Mój tata wolał rozmawiać i tłumaczyć, niż karać. Ja tak samo traktuję moje dzieci.

Czy dla Roma syn jest ważniejszy niż córka?

- Nie, bo każde dziecko jest ważne. Oczywiście najstarszy syn zostaje głową rodziny, jak zabraknie ojca, ale nie jest z tego powodu ani bardziej, ani mniej kochany. Po prostu ma inną rolę do odegrania.

Czy ojcu wypada rozmawiać z synem o seksie?

- Są ciężkie tematy w relacjach ojciec i syn. Seks do takich należy, więc wykorzystujemy instytucję starszego brata. Jak nie ma starszego brata, to są kuzyni, ale czasami ojciec musi sam synowi to powiedzieć, bo nie ma ani brata, ani kuzyna.

Czy dalej „porwacie” swoje przyszłe żony?

- To nie jest takie porwanie jak na filmach. Ale jak do porwania dodamy cudzysłów, to ta tradycja wciąż obowiązuje. Ja też „porwałem” moją żonę. A tak naprawdę to umówiliśmy się i staliśmy się małżeństwem. Zresztą znaleźliśmy się od 10. roku życia, nasze rodziny też się dobrze znały.

Czyli spotkanie, intymność, seks i małżeństwo...

- Tak, oto całe porwanie.

A wesele?

- Ceremonia wiązania dłoni chustą ma znaczenie. Nas „związał” romski król, bo był zaproszony na przyjęcie. Równie dobrze może to zrobić najstarszy mężczyzna bądź kobieta w rodzinie.

A małżeństwa nieletnich?

- Zdarzają się, ale nie zawsze bywa to akceptowane przez rodzinę, bo młodzi ludzie robią czasami nieodpowiedzialne rzeczy. Ale jak młodzi chcą być ze sobą i zrobili ten krok, to nikt nie będzie takiego małżeństwa unieważniał. Wszyscy będą im pomagać, by żyli w zgodzie.

Czy niewierność małżeńska jest OK? Podobno Romom, facetom, wolno w tym względzie więcej?

- To jest niedopuszczalne, jak w większości kultur. Szczególnie jak mężczyzna zdradza notorycznie żonę.

A jak jakiś żonaty Rom zaczyna flirt?

- To ktoś z rodziny mówi mu: weź się, stary, ogarnij, robisz sobie i nam wstyd. I tyle.



W jaki sposób?

- W naszej kulturze najważniejszym strażnikiem jest Szero Rom, ten w cudysłowie król Romów, do którego trafić z zarzutem złamania zasad jest tragedią dla całej rodziny. Cała społeczność wie, że któryś z jej członków złamał tradycję. Dlatego każdy problem próbuje się najpierw rozwiązać we własnym gronie, z rodziną starszyzną.

Cały czas wzajemnie się kontrolujecie?

- Z boku to tak wygląda, ale w rzeczywistości każdy kontroluje siebie. Bo każdy zdaje sobie sprawę, że złamanie tabu to wykluczenie. A dla Roma wykluczenie ze społeczności romskiej to największa kara. Jeśli kobieta czy mężczyzna nie może kontaktować się ze swoją rodziną, są zgubieni. Mogą próbować odnaleźć się gdzie indziej, ale to nie może im się udać.

Czy w społecznościach romskich zdarzają się romanse?

- Nie mają prawa się zdarzyć. Nie chcę mówić, że to w ogóle niemożliwe, ale jeśli zdarza się romans, to jest strasznie napiętnowany. U nas poczta pantoflowa działa świetnie, więc taka osoba od razu byłaby wytykana. Z taką osobą się nie rozmawia, nie kontaktuje. Krótko mówiąc, ma przerąbane. I to sprawia, że nasza kultura jest wewnętrznie spójna. Silna. Obserwuję rodziny romskie i uważam, że są dobrane, małżonkowie się uzupełniają. Dogadują. Moja mama nigdy nie musiała mojemu ojcu tłumaczyć, wskazywać palcem, co powinien zrobić. Oni wystarczy, że spojrzą się na siebie i wiedzą, o co chodzi. Czy są na przyjęciu i jedno chce iść do domu, czy trzeba coś podać do stołu. Rozumieją się bez słów.

Czy przekaże pani zasady Romanipen własnym dzieciom?

- Oczywiście, choć córeczka ma dopiero rok, więc jeszcze trochę czasu upłynie; synom przekazuje zasady ojciec. W domu rozmawiamy po romsku, mówimy dzieciom o historii Romów, skąd się wywodzą, jaką mają flagę. Często, gdy gdzieś idziemy razem, na przykład do sklepu, syn zaczyna mówić po romsku. Pytam, dlaczego to robi. Odpowiada: mam, to super, mamy swój język, nikt nas nie rozumie. Nasze dzieci, choć dwujęzyczne, myślą w języku romskim. Tak jak my. To jest nasz pierwszy język, ten, na który przekłada się wszystko, co do nas trafia. I to jest początek trwania w tradycji.

Rozmawiała Aleksandra Pawlicka, *Newsweek*

Karolina Stankiewicz-Kwiatkowska

Pracować zaczęła, mając 15 lat, jako sekretarka ojca, prezesa International Romani Union. Skończyła kulturoznawstwo i dziennikarstwo. Pracowała w telewizji regionalnej, była redaktorem naczelną pierwszego pisma romskiego w Polsce „Rrom p-o Drom”, czyli „Rom na drodze”, a także rzecznikiem prasowym romskiej organizacji przy Radzie Europy. Dziś wraz z mężem prowadzi firmę organizującą kursy i szkolenia dotyczące kultury romskiej. Równocześnie jest asystentem edukacji romskiej. To funkcja utworzona w 2004 roku, której zadaniem jest utrzymanie więzi między szkołami, instytucjami a rodzinami romskimi



“
Nieprawda,
że nie możemy
pracować,
robić kariery,
decydować
o sobie.
Jestem
najlepszym
przykładem,
że jest inaczej
”

Czy można być Romem homoseksualistą?

- To jest niemożliwe, bo pozostaje w sprzeczności z głównym nurtem naszej kultury, która jest bardzo restrykcyjna.

Czy wówczas można być wykluczonym ze społeczności romskiej?

- Można zostać wykluczonym - tego rodzaju wyrok może wydać nasz król. Taki wykluczony nie może spotykać się i siadać do stołu z Romami, a ci Romowie, którzy łamią ten zakaz, podzielą los wykluczonego. Werdykty króla są szanowane.

Do króla można bez problemu się dostać?

- Tak, można się z nim umówić przez telefon, pojechać, porozmawiać.

Wierzycie, że góra ciała jest czysta, a dół nieczysty. Ciągłe pilnujecie, by nieczyste nie skałało czystego?

- Tak. Żaden szanujący się mężczyzna nie poda kobiecie butów, nie dotknie jej spódnicy, nie weźmie też do ręki jakiejś intymnej kobiecej rzeczy. My nawet o takich sprawach nie rozmawiamy między sobą.

Czytałem, że seks oralny jest dla Romów niedopuszczalny?

- Powiem tak: kultury powinno się przestrzegać, ale co tam kto robi w sypialni - nie wiem.

Nie całujecie się i nie przytulacie w miejscach publicznych...

- Bo to nie wypada.

Podobnie jak obściskiwac się w tańcu.

- W tańcu trzeba zachować subtelność. Dla nas taniec to element podtrzymywania więzi rodzinnych.

Czy Romom schlebia, jak uwodzą ich obce kobiety?

- Mogę tylko odpowiedzieć za siebie: nie lubię, jak podrywają mnie kobiety. Kobiety romskie raczej tego nie robią. Kobiety powinny być subtelne i zdystansowane.

Organizujecie wieczory kawalerskie czy panieńskie ze striptizem w prezencie?

- Nie, bo to jest niepotrzebne. To poniżej romskiej godności, ale nie przeszkadza nam, jak w ten sposób bawią się nie-Romowie.

Czego nie wolno jeść Romom?

- Koniny. Jeśli ktoś to robi świadomie, to może być wykluczony.

Dlatego że konie ciągnęły romskie tabory?

- W naszej kulturze koń to przyjaciel, a przyjaciół się nie zjada.

Rozmawiał Jacek Pawlicki, *Newsweek*

Karol Kwiatkowski

- prowadzi firmę szkoleniową, jest członkiem zespołu ds. Romów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Cyfryzacji, realizuje projekty unijne, administratywa, asystent edukacji romskiej

2000

Grecja

Fotografie

Nikos

Economopoulos

/Magnum Photos

/Forum





Arlija i Gyftoi

- ☼ Jest ich od 140 tysięcy do 200 tysięcy.
- ☼ Albo raczej 200-300 tysięcy. ☼ Nie, może lepiej: 80-350 tysięcy. ☼ Właściwie to nie wiadomo

Romowie w Grecji precyzyjnych statystyk nie potrzebują, Grecja raczej też nie. Unia Europejska próbuje ich policzyć, ale za każdym razem wychodzi co innego. Po co komu zresztą te liczby? Przybyli tu już w XV wieku, są u siebie. I dzielą los greckich współziomków: większość wyznaje prawosławie, z wyjątkiem tych, którzy żyją w Tracji i są muzułmanami. Mówią o nich Arli albo Arlija - od dialektu języka romskiego z grupy bałkańskiej, którym się posługują. Albo po prostu Gyftoi, Cyganie. Życie mają nielekkie. W większości to ludzie prości, bywa – analfabeci. Mieszkają ubogo, bez podstawowych udogodnień sanitarnych. Co trzeci jest bezrobotny. Ale skąd brać pracę, skoro nęka ich władza, policja lubi zatrzymać, niszczy własność? A zwykli Grecy? Jak wszędzie, często myślą tak, jak dyktują media podsycające krzywdzący stereotyp, że Gyftoi to pasożyt, żebrak, handlarz narkotyków. Romowie w Grecji... Czy znają szczęście?











Nikos Economopoulos,
grecki fotograf.

Urodził się w 1953 roku,
studiował prawo, pracował
jako dziennikarz.

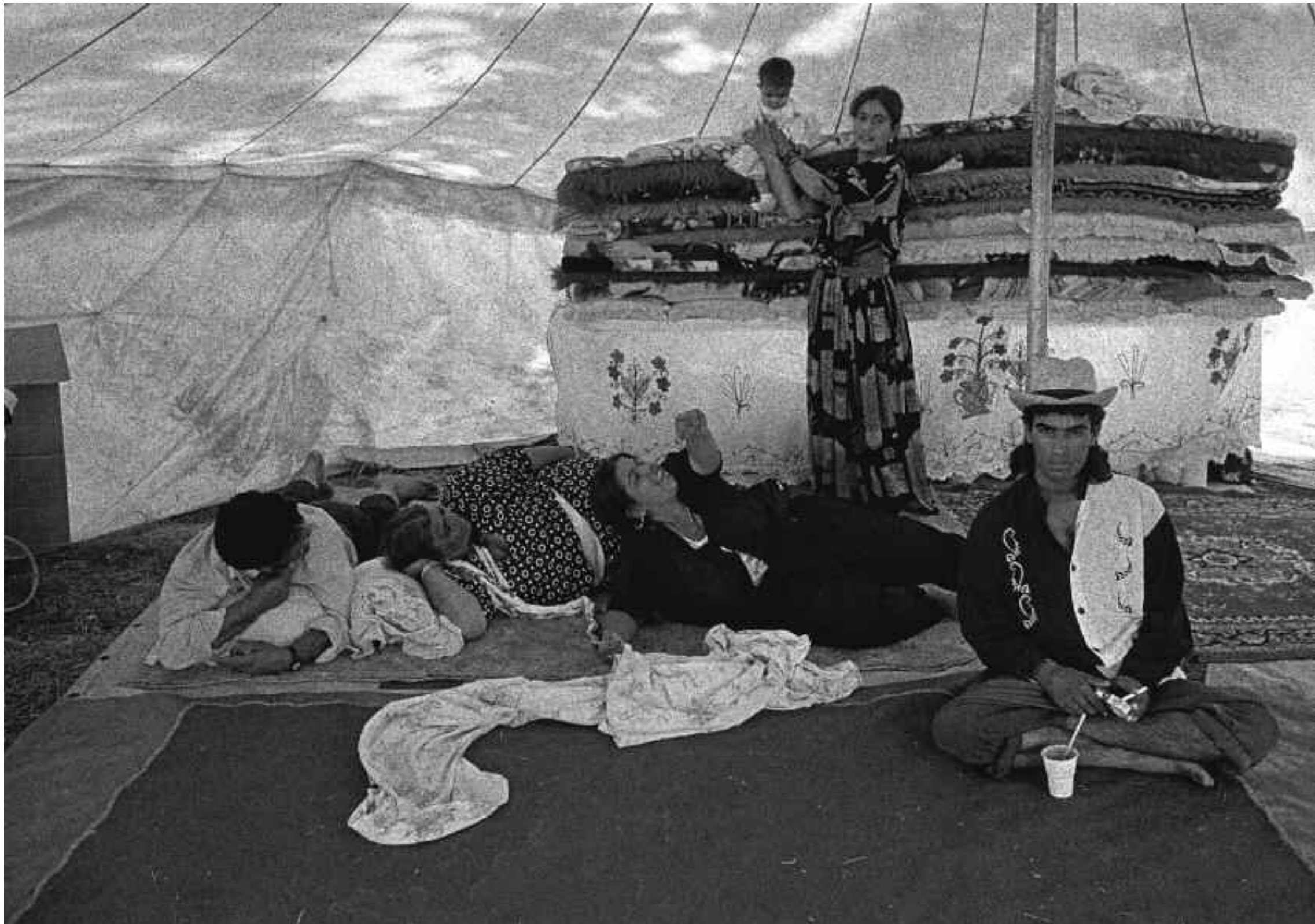
Fotografią zainteresował się
w wieku 25 lat, kiedy jego
kolega pokazał mu album
Henri Cartiera-Bressona.
Członkiem agencji Magnum
został w 1994 roku, również
wtedy zaczął fotografować
życie Romów.

Publikuje w największych
światowych gazetach
i magazynach, m. in.

The Guardian,
The Independent, Le Monde,
Libération,

The New York Times.

Jest autorem kilkunastu
indywidualnych wystaw
oraz albumów.





Tibor Balogh

Tibor Balogh pierwszy „artysta oficjalny”

Tímea Junghaus

Tibor Balogh urodził się w Fehérgyarmat na Węgrzech w 1975 roku. Jest pierwszym artystą romskim, który ukończył prestiżową Akademię Sztuk Pięknych w Budapeszcie.

Praca dyplomowa Balogha to miedzioryty.

Przedstawione na nich sceny łączą autobiograficzne wspomnienia z dzieciństwa z obrazami budapeszteńskiej ósmej dzielnicy, zamieszkiwanej przez Romów, w której artysta spędził czas studiów.

Jednym z najbardziej wymownych fragmentów tej serii jest *Taniec starej romskiej kobiety z Aniołem*. Inspiruje on do myślenia o młodym artyście, który dorastał jako sierota, o jego relacji ze starszą kobietą oraz o tematyce upływającego czasu i śmierci.

Pierwszym ważnym sukcesem Balogha po ukończeniu studiów był udział w wystawie *Múcsarnok Ukryty Holocaust* w 2004 roku. Było to wydarzenie bez precedensu, gdyż romscy artyści na Węgrzech po raz pierwszy pokazali się oficjalnie w kręgach sztuki współczesnej. Balogh stworzył instalację przyległą do absydy, bez tytułu. Stosy cegieł oraz pieśni o Zagładzie Romów unoszące się jak modlitwa nasuwały wiele skojarzeń, a artysta nie chciał wyznaczać ani kontrolować interpretacji, które jego wizja mogłaby sprowokować. Dwa stosy cegieł symbolizujące łóżka ustawione są w dokładnie takiej samej odległości, jak w pomieszczeniach sypialnych sierocińca, w którym Balogh spędził dzieciństwo; przywołują na myśl opuszczony pokój dziecięcy. Nigdy nie będą ciepłe, nie tylko dlatego, że ci, którzy w nich spali, już nigdy nie powrócą, ale również dlatego, że są z cegły. Ceglane kominy, które stały się symbolami śmierci tysięcy Romów, w tej instalacji są grobami. Instalację domykają pieśni o Holokauście, promieniujące nieskończonością bólu i goryczy.

Kolejna prowokacyjna praca też porusza temat Holocaustu.

Stoisko/kabina o wymiarach 1x1x2,3 metra, goła żarówka i ściany -



Tibor Balogh

Fot. Archiwum rodzinne



**Taniec starej romskiej
kobiety z Aniołem, 2003**

Miedzioryt, 83 x 115 cm

Metropolitan Council - Romano
Kher, Budapeszt

Tímea Junghaus

- historyk sztuki i doktorantka w dziedzinie teorii kultury i sztuk audiowizualnych na Uniwersytecie Eötvös Loránd na Węgrzech. Kuratorka wielu wystaw - m.in. Romskiego Pawilonu na Biennale w Wenecji w 2007 roku; autorka i współredaktorka publikacji nt. sztuk wizualnych Romów europejskich - „Poznaj swoich sąsiadów - współczesna sztuka romska w Europie” (Open Society Institute 2006); dyrektor wykonawcza Fundacji Kulturalnej Romów Europejskich.

wytapetowane szokującymi dokumentami, tekstami oraz zdjęciami Zagłady Romów i zapisami dyskryminacji w świecie współczesnym. Po wejściu do kabiny nie sposób się uwolnić od tych wstrząsających obrazów. Poza kabiną Balogh ustawił małe próbówki, na ścianie przykleił instrukcję, co należy z nimi zrobić. Zwiedzający mógł wziąć próbówkę do kabiny, w której spędzał tyle czasu, ile chciał - albo mógł. Do próbówki mógł zbierać łzy. Artysta zbierał próbówki - niektóre podpisał - i rozwieszał wokół kabiny jako „krople deszczu”. Sto osób wzięło udział w akcji poprzedzającej wystawę, a impreza miała nastrój romskiego przebudzenia. Ta instalacja zapewniła mu miejsce w pierwszym romskim Pawilonie Sztuki Współczesnej w Wenecji. W kwietniu 2013 roku podczas Międzynarodowych Dni Romów, po kilku latach pracy w odosobnieniu, Tibor Balogh wystawił duże kolorowe płótna. Jego obrazy są przejawem wirtuozerii, jego grafiki promieniują, a jednocześnie wskazują, że prawdziwe wizje artysty odbywają się w kolorowej atmosferze malarstwa olejnego. Płótna Balogha łączą elementy osobistych wspomnień, niemalże fotograficznych detali, portretów i scen przedstawiających postacie romskie zaczerpnięte z naturalistycznej obserwacji środowiska wiejskiego i miejskiego. Z całą pewnością prace te będzie można zobaczyć na prestiżowych targach sztuki i Biennale w najbliższych latach.

Tímea Junghaus



Tiszadob, 2003
Miedzioryt, 83 x 115 cm
Metropolitan Council -
Romano Kher, Budapeszt



Bez tytułu, 2004
Instalacja ceglana
Zdjęcie: Kunsthalle, Budapeszt



Budapeszt
2011
olej na płótnie
150 x 70 cm



Deszcz łez, 2004
Instalacja, papier, próbówki
Zdjęcie: Kunsthalle, Budapeszt

Budapeszt
2011
olej na płótnie
100 x 100 cm



Dziewczyna z tęczą.

☼ Co mądrego o życiu Romów ma do powiedzenia 16-letnia dziewczyna? ☼ Co może wiedzieć o sztuce? ☼ Co ona ma w sobie takiego, że ludzie chcą poznać właśnie jej opowieść?

Tomasz Kobyłański



Droga

Sześć lat to dość, by już coś pamiętać. Rebecca Rumunię pamięta słabo, ale podróży nie zapomni. Jest rok 2002. Rodzina Covaciu szykuje się do drogi. Może w końcu znajdą miejsce, gdzie Romom żyje się lepiej. Jadą w siedmioro: tata Stelian i mama Gehorgina, bracia Samuel, Emanuel, Abel, siostra Rahela i ona - sześćioletnia Rebecca. Najpierw do Brazylii, potem do Argentyny. Wytrzymują za oceanem dwa lata, wracają do Europy. Rebecca wylicza kolejne lokalizacje: - Mieszkaliśmy w Hiszpanii, Francji, ale w końcu wróciliśmy do Rumunii. A w 2005 roku przyjechaliśmy do Włoch. Z wojaży dziewczynka przywozi umiejętność porozumiewania się już nie tylko po romsku, ale też po angielsku, hiszpańsku, francusku i włosku. A nawet w hindi! - Nauczyłam się troszeczkę sama, z filmów Bollywood - śmieje się Rebecca. A szkół przecież nie kończyła, bo czy może liczyć się ta jedna, pierwsza klasa, do której chodziła jeszcze wtedy, gdy mieszkała w Rumunii?

Anioł

- Gdy mieszkaliśmy już we Włoszech, miałam sen, w którym malowałam obrazy. Nagle ukazał się w nim anioł, który powiedział mi, żebym kontynuowała swoją pasję, bo będę z tego powodu znana i pomogę innym - wspomina Rebecca. Chciała pójść do liceum artystycznego. Ale jak mieli ją przyjąć bez skończonej szkoły podstawowej? I wtedy pojawił się Giuseppe Como, dyrektor liceum artystycznego im. Umberto Boccioniego w Mediolanie. Przyjął Rebecę w poczet uczniów tego elitarnego mediolańskiego liceum kształcącego młodych artystów. - Profesor Como zrezygnował nawet z emerytury, by Rebecca mogła pozostać w szkole. Inny dyrektor raczej by na to nie pozwolił - podkreśla pełen podziwu Massimo Meazza, wydawca jej książki. Ale książka dopiero będzie, nie sprzedajmy wypadków.

Obrazki z życia



Kredki

Roberto Malini ma misję: chce pomagać. Jest w grupie EveryOne, wspierającej społeczność romską we Włoszech. Nie miałby dla naszej opowieści większego znaczenia, gdyby nie drobny gest: obdarowuje 10-letnią Rebecę kredkami. I w ten sposób wprowadza ją na drogę sztuki. Teraz i Rebecca ma misję: w zniszczonych domach, pod mostami, wszędzie tam, gdzie jej rodzina musiała ukrywać się przed niedobrymi ludźmi, rysuje. Uwielbia kolory, bo kolory niosą nadzieję. ☼- Pamiętam mojego misia. To był taki plecak-maskotka, w którym miałam kredki. Był jedyną rzeczą, którą mogłam ze sobą zabrać, gdy przyjeżdżała policja - wspomina Rebecca.

Łzy

Pobyt we Włoszech od początku nie układał się dla rodziny Covaciu szczęśliwie. Po Genui przeprowadzają się do Neapolu, gdzie w 2008 roku mają miejsce ataki na Romów. Mieszkańcy Ponticelli, peryferyjnej dzielnicy miasta, podłożyli ogień, próbując spalić romskie osady. Płonie dobytek rodziny Covaciu. Rebecca to maluje. W książce, o której jeszcze nie opowiedzieliśmy, jest malunek: 12-letnia dziewczynka stoi w oknie i płacze. Podpis brzmi: „Przyjechałam do Neapolu szczęśliwa, za 3 dni przyszli ludzie, którzy rzucali bomby”. W Mediolanie miało być lepiej. Nie jest. Rodzina Covaciu mieszka z innymi Romami w wagonach na bocznicie kolejowej przy mediolańskiej stacji San Cristoforo. Każdego dnia o 8 rano wszyscy muszą uciekać, bo właśnie o tej godzinie policja zaczyna pracę i przyjeżdża na kontrolę. Do wagonów wraca się dopiero około 20-21, gdy jest już spokojniej.



Tęcza

W maju 2008 roku Rebecca wysłała serię rysunków na międzynarodowy konkurs „Caffé Shakerato” organizowany przez UNICEF. I wygrywa. Jury wybrało jej pracę pt. „.... roof and clouds (or clouds for roof)” spośród kilku tysięcy nadesłanych.

Cztery lata później kolorowy zapis życia Rebekki trafia do wszystkich: w sierpniu 2012 roku nakładem mediolańskiego wydawnictwa UR Editore ukazuje się książka z jej pracami pt. „L'arcobaleno di Rebecca”. „Tęcza Rebekki” to historia osoby, która nie zawsze spotykała przychylnych jej ludzi, nie zawsze miała dach nad głową, ale zawsze miała wiarę w świat i ludzi. Bo jak sama mówi: Bóg daje jej siłę i prowadzi ją przez życie, a malowanie to najlepszy sposób na wyrażanie myśli.

- Jej malarstwo pod niektórymi względami przypomina mi twórczość Otto Müllera - niemieckiego ekspresjonisty malującego sceny z życia Romów na początku XX wieku - mówi Malini.

Potem były wystawy w wielu muzeach Europy i dalej - m.in. w Muzeum Sztuki Etnicznej w indyjskim Czandigarh oraz w Muzeum Sztuki Współczesnej w Hilo na Hawajach. Rebecca opowiada, że nigdy nie spotkała się z przejawem zazdrości rodzeństwa czy też kolegów. Wręcz przeciwnie, są zadowoleni. Jak mówi Massimo Meazza, jest tak w głównej mierze dlatego, ponieważ Rebecca, udzielając wywiadów, nie mówi tylko o sobie, ale też porusza problemy innych Romów i społeczności emigranckich. - Jest prawdziwym ambasadorem wszystkich mniejszości - mówi Massimo. - Pewnego razu wywiad ze mną leciał w telewizji Rai TG3. Gdy spotkałam mojego sąsiada pochodzącego z Afryki, prawie płacząc, powiedział mi: „Widziałem wywiad z tobą. Dziękuję, że powiedziałaś o problemach wszystkich cudzoziemców” - mówi Rebecca.

Syrena

Rodzina Covaciu nie mieszka już w wagonie na bocznicach. Stelian Covaciu zdecydował, że będą mieszkać w normalnym mieszkaniu, co ma jednak swoje dobre i złe strony: w romskim obozie rodzina miała darmowy dostęp do wody i prądu. Tu trzeba płacić za wszystko. - W dwupokojowym mieszkaniu żyje razem 10 osób, nie ma w nim drzwi, nie ma też podłogi, tylko goły beton - mówi Rebecca. - Chciałam jednak, by mieszkało nam się przyjemniej. Namalowałam na ścianie syrenę nad morzem. Chociaż gdy brakuje nam pieniędzy, zamiast na zajęcia chodzę nad mediolańskie kanały sprzedawać moje obrazy. Często w kawiarenkach nieopodal dostaję jedzenie, jednak nie za darmo - odwzajemniam się obrazami. Pamiętam, że w jednej z kawiarni właścicielka pozwoliła mi zrobić prezentację mojej książki. I nawet kupiła mi ubranie, bym ładnie wyglądała - dodaje Rebecca. Jednak



Rebecca.

Tomasz Kobylański

- absolwent ukrainoznawstwa oraz student europeistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, specjalność: Wiedza o Holokauście i totalitaryzmach. Publikował m.in. na łamach „Polityki”, „Przekroju”, „Wprost”, „Nowej Europy Wschodniej”, polsko-niemiecko-ukraińskiego magazynu literackiego „Radar” oraz ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnia”.

nie wszyscy są tak przychylnie nastawieni do dziewczyny. Pewnego razu Rebecca sprzedawała obrazy na placu Duomo, nieopodal słynnej mediolańskiej katedry. Było bardzo zimno, więc postanowiła ogrzać się w prestiżowej galerii handlowej La Rinascente. Ochroniarz chwycił ją bardzo mocno za ramię, potargał jej obrazy i wyrzucił ją na ulicę.

- Poczulałam się jak śmieć, ponieważ te obrazy to moje pieniądze. Staram się uczciwie pracować. Ja i moja rodzina jesteśmy zielonoświątkowcami, jesteśmy bardzo pobożni. Nikt w naszej rodzinie nie pali, nie pije alkoholu, nikt z nas nie kradnie. A ktoś mnie potraktował w ten sposób. Poszłam nawet na skargę do kierownika, ale ten nie chciał mnie nawet wysłuchać... - zawieszła głos Rebecca.

Czekolada

Z Rebekką i wydawcą jej książki Massimo Meazzą spotykam się nieopodal budynku Rady Regionalnej Lombardii, skąd wspólnie udajemy się do pobliskiej kawiarni. Młoda artystka promieniuje niezwykłą energią i pozytywnym nastawieniem do ludzi. Gdy przechodzimy obok klombu, bierze z niego nieco ziemi i zaczyna rysować... Kilka sprawnych ruchów i w jej notesie powstaje zarys twarzy kobiety. Jak sama mówi, często maluje ziemią lub trawą, ponieważ nie zawsze ma pieniądze na przybory malarskie. - Ale w ten sposób doskonale można oddać barwy natury - dodaje z uśmiechem na twarzy. W kawiarni, gdy przychodzi złożyć zamówienie, Rebecca z szerokim uśmiechem bez wahania mówi: Cioccolata calda! (Gorąca czekolada!). Massimo Meazza śmieje się: - Wiedziałem, to zdecydowanie jej ulubiony napój.

Tomasz Kobylański

Jazz Rom

Stare, dobre małżeństwo: jazz i muzyka cygańska. Wzajemnie się szanuje, wspiera i inspirowuje. Potomstwo? Liczne, rozsiadane po całym świecie. Przeszłość? Bogata. Teraźniejszość? Ciekawa. A przyszłość? Na horyzoncie mający już coś bardzo intrygującego...



The Django Reinhardt Anthology

Not Now Music, 2010

Określenia gypsy-jazz czy gypsy-swing zaistniały w światowej muzyce dzięki geniuszowi gitarzysty Django Reinhardta. Jego kariera jako jazzmana zaczęła się w paryskich knajpkach. Z grajka amatora szybko stał się pierwszoplanową gwiazdą europejskiej sceny jazzowej. Wielu krytyków właśnie dla niego rezerwuje miano pierwszego w Europie jazzmana z prawdziwego zdarzenia. Jeszcze za życia stawiano go na równi z Charlie Parkerem czy Louisem Armstrongiem. Jedną z niewątpliwych zasług Reinhardta było „wprowadzenie” na jazzową scenę

nowy wybitny skrzypka Stéphane'a Grappello, z którym tworzyli zespół Quintette du Hot Club de France.

Płyty z jego muzyką, które są dostępne na polskim rynku, to oczywiście różnego rodzaju kompilacje, jak choćby ta wydana w roku 2010 przez firmę Not Now, zawierająca 46 zmasterowanych nagrań.



Roots

The Rosenberg Trio

Iris Music France, 2007

Dziś najwybitniejszymi przedstawicielami tradycyjnego gypsy-jazzu są pochodzący z Holandii dwaj bracia i kuzyn - Stochel, Nous'che i Nonnie Rosenbergowie tworzący zespół The Rosenberg Trio. Skład instrumentalny to dwie gitary i kontrabas. Wierność stylowi Django Reinhardta do tego stopnia zauroczyła jego starszego brata Stéphane'a Grappello, że zaprosił on The Rosenberg Trio na wspólną światową trasę koncertową, włącznie ze wspólnym koncertem w nowojorskiej Carnegie Hall, podczas którego celebrował swoje osiemdziesiąte piąte urodziny. Z wielu dostępnych płyt tego bardzo aktywnego zespołu polecam „Roots”, wydaną w roku 2007 przez wytwórnię Iris Music.



Routes to Django

Biréli Lagrène

Le Chant du Monde Jazz, 2006

Routes to Django/Swing '81.

Jazz Point Records 1999

The Rosenberg Trio jedną ze swoich płyt nagrali z wybitnym wirtuozem gitary, francuskim Romem Biréliem Lagrène'em.

Biréli już jako nastolatek zachwyił muzyczny świat niezwykłą techniką i muzykalnością. Mając lat dwanaście, zdobył nagrodę na festiwalu w Strasburgu. Jako nastolatek objechał z koncertami Europę. Grał między innymi z Bennym Carterem, Bennym Goldmanem, a także... ze Stéphane'em Grappellim. I w przypadku Lagrène'a nieuniknione było porównywanie jego gry z techniką legendarnego Django. Zresztą sam Biréli przed tym nie uciekał. Debiutancką płytę, którą nagrał, mając zaledwie czternaście lat, zatytułował

„Routes to Django”.

Czy płytę nagrałą przez dziecko mogą Państwu polecić? Jak najbardziej. To właśnie ten album pozostaje moim ulubionym w jego dyskografii.



Lakatos live from Budapest

Deutsche Grammophon, 1999

Najsłynniejszą rodziną o korzeniach romskich uprawiającą interesującą nas tu muzykę jest węgierski ród Lakatosów z Robem Lakatosem - zwanym diabelskim skrzypkiem - na czele. Jej pierwszym sławnym przedstawicielem jest Janos Bihari, zwany cygańskim Paganinim, który cieszył się dużym uznaniem na dworze Habsburgów i w 1814 roku grał na Kongresie Wiedeńskim. Jego sztuką zachwycali się Beethoven i Liszt.

Roby Lakatos urodził się w 1965 roku i już w wieku dziewięciu lat rozpoczął karierę jako pierwszy skrzypek w cygańskim zespole. W roku 1984, mając zaledwie 19 lat, ukończył budapeszteńskie Konserwatorium Muzyczne im. Béli Bartóka z pierwszą nagrodą w klasie skrzypiec. Grał z Maximem

Vengerovem, Stéphane'em Grappellim (i znów ten Grappelli !!!), Yehudim Menuhinem czy Marthą Argerich.

Na mojej jazzowej półce stoi przepiękna płyta wydana w roku 1999 przez Deutsche Grammophon: „Lakatos live from Budapest”. Znajdują się na niej zarówno kompozycje Robiego Lakatosa, tradycyjne melodie ludowe, ale również kompozycje Lista Straussa, a także Django Reinhardta czy folkowej irlandzkiej pieśniarki Loreny McKenith.



Gypsy in a Tree Sanda Weigl

Barbes, 2011

Sanda Weigl wychowała się w komunistycznej Rumunii, skąd wraz z rodzicami wyjechała do Berlina Wschodniego do ciotki Helen Weigl - żony Bertolta Brechta. Po upadku komunizmu wyemigrowała do Nowego Jorku, gdzie żyje do dziś. Jej muzyka inspirowana jest rumuńskim i cygańskim folklorem. Słychać w niej także wpływy muzyki Brechta, no i jazzu. Chciałbym polecić płytę nagrałą przez nią w roku 2011: „Gypsy in a Tree”.



Čači Vorba, Tajno Biv (Secret Marriage)

Oriente Music, 2011

Na zakończenie - polski akcent, z rekomendowanych przeze mnie tu płyt najbardziej zbliżony do muzyki tradycyjnej, czyli płyta „Tajno Biv” zespołu Čači Vorba. Muzyka romska jest dla nich tylko jedną z inspiracji, ale niezwykle ważnych. Na swojej stronie internetowej piszą o sobie: „Čači Vorba to istniejąca od 2006 r. lubelska grupa specjalizująca się w żywiołowej mieszance muzyki cygańskiej, bałkańskiej oraz karpackiej, zaliczana do najbardziej uhonorowanych za granicą polskich wykonawców ostatnich kilku lat. Piątka muzyków, uprawiających na tradycyjnych akustycznych instrumentach fuzję muzyki etnicznej, jazzu, rock'n'rolla oraz wielu innych gatunków, to aktualny laureat przyznawanego przez radiową »Dwójkę« tytułu »Folkowy Fonogram Roku« za płytę »Tajno Biv«. Ja również państwu tę płytę gorąco polecam.

Ryszard Wojciul

Misja: eksmisja

O demagogii w polityce lokalnych władz w Europie wobec Romów

☼ W całej Europie likwidowane są obozowiska i prowizoryczne miasteczka romskich imigrantów. ☼ Dlaczego władza tak ochoczo ucieka się do eksmisji? ☼ Dlaczego – zamiast rozwiązać problem – wybiera rozwiązanie siłowe!?

Tommaso Vitale

Likwidacje obozowisk romskich, ustawiczne i cykliczne, gwałcą prawa i godność ludzką. Eksmitowanym nie daje się żadnej alternatywy, żadnych ofert mieszkaniowych. Akcje te nie dość, że zubażają politykę, redukując ją do poziomu demagogii, to jeszcze utrwalają stereotypy na temat Romów.

Nie będę się tu koncentrował na kwestii naruszania praw człowieka. Skupię się natomiast na politycznych i kulturowych skutkach eksmisji, aby - w konkluzji - przytoczyć przykłady postępowania wobec Romów opartego na zrozumieniu i solidarności.

W imię „wyższych celów”

Eksmisja jako taka jest tylko jednym z instrumentów polityki publicznej. Stosuje się ją tam, gdzie dochodzi do ataków na własność (prywatną lub publiczną), albo kiedy pojawia się zagrożenie dla zdrowia czy życia ludzi. Problemem nie jest zatem samo narzędzie, ale jego zastosowanie.

We włoskim Bergamo na przykład w drugiej połowie poprzedniej dekady zaoferowano ponad 400 Romom stałe mieszkania. W efekcie sami Romowie uczestniczyli w likwidacji swych dawnych prymitywnych siedzib. Robili to we współpracy ze służbami oczyszczania miasta, co – notabene – dało spore oszczędności budżetowi gminy. Natomiast oczywistym efektem eksmisji – o ile nie są poparte propozycją mieszkaniową – jest tylko wypchnięcie ludzi na ulice, w jeszcze gorsze warunki.

Władza uzasadnia eksmisje Romów dobrem samych eksmitowanych, a także interesem mieszkańców dzielnic położonych w sąsiedztwie nielegalnych obozowisk. W istocie jednak dobro Romów nie jest tu wcale najważniejsze – przecież ludzie zostają bez domów i jakiegokolwiek wsparcia. Hasła o zabezpieczeniu interesu mieszkańców okolicznych dzielnic też nie można poważnie traktować, bo przecież po każdej eksmisji Romowie i tak wracają i ponownie zajmują te same miejsca. Mechanizm ten jest zatem mało skuteczny, w dodatku obciążony znacznymi kosztami ekonomicznymi i naznaczony cierpieniem ludzi. Dlaczego więc nadal się go stosuje? Dlaczego urzędnicy nie popatrzą po prostu w twarze ludzi eksmitowanych? Dlaczego nie posłuchają ich historii? Dlaczego nikt nie podejmuje z nimi dialogu, by znaleźć rozwiązanie zadowalające obie strony?

Polityka dzielenia

Eksmisje kosztują. Kosztują chyba więcej niż realizowanie sensownej polityki społecznej i więcej niż inwestowanie w edukację, a zwłaszcza wspieranie nauczycieli zajmujących się dziećmi romskimi, które często nie władają biegle językiem kraju, w którym przebywają. Owszem, eksmisje są pewnie tańsze niż zaoferowanie ludziom mieszkań. A jakie efektowne! Tworzą wrażenie, że władza lokalna cokolwiek robi.

W wielu regionach Europy Zachodniej władze lokalne nie bardzo przejmują się problemami Romów - nie tworzą programów pomocowych, nie szukają skutecznych rozwiązań ich problemów. Istnieją oczywiście wyjątki, które słusznie Unia Europejska premiuje i wskazuje jako wzorcowe. Ale w bardzo wielu miastach władze obok ekstremalnej polityki segregacji (to jest tworzenia osiedli specjalnych, przeznaczonych tylko i wyłącznie dla Romów) stosują ciągłe eksmisje. W rezultacie działania różnicujące ludzi pod względem etnicznym powodują wyodrębnienie się grupy osób, które lądują na marginesie życia. I to właśnie te osoby zajmują nielegalnie jakieś niezamieszkałe tereny, a w końcu stają się ofiarami eksmisji. To zgrany scenariusz. Władze miast, które zdecydowały się na takie uproszczone działania, nie próbują nawet szukać nowych, lepszych rozwiązań, nie zdobywają się nawet na wysiłek wysłuchania Romów. Innymi słowy, decydują się na radykalne uproszczenie swej polityki w odniesieniu do imigrantów romskich, a także Romów miejscowych mających obywatelstwo danego kraju. Eksmisje to działania, które są wynikiem polityki opartej na demagogicznej tezie, że rozwiążą problem romski. Jednak ani nie rozwiązują problemów jakości życia eksmitowanych Romów, ani problemów współistnienia i dobrych relacji między różnymi grupami społecznymi. Cele tych działań są tylko i wyłącznie prymitywnie polityczne. To cele aktorów sceny politycznej, którzy uważają, że pozyskają dla siebie większy poklask, mogąc się pochwalić efekciarskim, rzekomo wielkim zaangażowaniem, niż gdyby problemami Romów zajęli się na poważnie. Skupieni są tylko na wynikach działań dotyczących własnej osoby. To właśnie jest demagogia. Demagogia, która zagłusza i niszczy dobre pomysły. W rezultacie nawet niskobudżetowe projekty pomocy Romom nie są realizowane. Projekty, do realizacji których na dobrą sprawę wystarczyłoby skoordynowanie różnych działań (w zakresie mieszkalnictwa, edukacji, kultury i pomocy społecznej), osób i instytucji (publicznych i prywatnych) prowadzących je oraz celów działań (krótko-, średnio- i długoterminowych).

Dlaczego zatem z całej gamy różnych możliwości władze najchętniej wybierają właśnie eksmisje, te cyklicznie powtarzające się eksmisje? Te wyglądające

zawsze tak samo operacje demontażu nielegalnych osiedli, które i tak niedługo powstają na nowo w innym miejscu? Dlaczego podejmuje się decyzje kosztowne, a tak nieskuteczne?

Eksmisje dotyczą miejsc zazwyczaj nierzucających się w oczy, ale – oczywiście - dostrzeganych przez lokalne media. Gdy dochodzi do likwidacji jakiegoś obozowiska, skupia się uwagę lokalnej społeczności na konkretnej grupie Romów. I wskazuje się ją jako rzekomo odpowiedzialną za pogorszenie się jakości życia ludzi mieszkających w danej okolicy. Eksmitowani Romowie ponoszą konsekwencje nieustającej dyskryminacji. Ale jest także inny efekt takich działań: zbiorowe ogłupienie, skutkujące społecznym przyzwoleniem na uruchomienie procesów segregacji.

Środek: demagogia, cel: władza

Dlatego eksmisje społeczności romskiej należy traktować jako akcje oparte na demagogii. Dotykamy tu samej istoty choroby współczesnej demokracji, w której coraz mniej dąży się do osiągnięcia konsensusu w rozwiązywaniu problemów czy we wspieraniu pokojowego współistnienia różnych jednostek i grup. Coraz częściej politycy zdobywają akceptację wyborców i elit rządzących poprzez tylko i wyłącznie aktywność w mediach. Pokazują w nich rzekome zaangażowanie w rozwiązywanie różnych problemów. Pokazują, że są obecni w miejscach, gdzie ludzie borykają się z różnymi problemami, kłopotami. Skutkiem powtarzających się co jakiś czas eksmisji Romów są nie tylko ogłupianie ludzi i banalizacja oraz marnotrawienie pożytecznych inicjatyw. Mają one również znaczny wpływ na kulturę: wywarzają wzorce postrzegania i interpretowania rzeczywistości.

Likwidacje obozowisk i prowizorycznych osiedli tworzonych przez romskich imigrantów z Europy Południowo-Wschodniej przeprowadzane są w większości przypadków z pogwałceniem norm prawa tak krajowego, jak i międzynarodowego. Najczęściej ofiary eksmisji nie są powiadamiane o postanowieniu likwidacji koczowiska. Podczas takich akcji często niszczone są dobra prywatne. W większości przypadków wyrzucanym ze swoich siedzib Romom nie oferuje się żadnych mieszkań zastępczych. Pojawiają się groźby rozbicia rodzin. A przecież podczas eksmisji podejmowanych w sytuacjach awaryjnych, np. zagrożeń budowlanych, takie postępowanie się nie przydarza! Likwidacje obozowisk romskich mają zatem charakter szczególny i wyróżniający (dyskryminujący) w podwójnym znaczeniu: raz, że nakierowane są tylko na jedną grupę etniczną, dwa, że przyczyniają się do tworzenia i powiększania się zjawiska dyskryminacji i wykluczania tej grupy. A wreszcie pogłębiają wrogie postrzeganie inności etnicznej i kulturowej Romów.

Romów w tych wszystkich działaniach traktuje się przedmiotowo. Nie rozmawia się z nimi, nie negocjuje się, nie uwzględnia się ich ekonomicznych możliwości czy zawodowych umiejętności. Przyjmuje się, że wszyscy Romowie są tacy sami. Takie przeświadczenie rozpowszechniane jest później w mediach, a wzmacniane obrazem ich ubóstwa i dyskryminacji. Kończy się na tym, że takie ujednolicające podejście do Romów przejmują także ci, którzy są przeciwko eksmisjom. W rezultacie wiele osób, nawet wśród działaczy na rzecz praw Romów, traktuje ich jako grupę niezróżnicowaną, o jednolitej, homogenicznej kulturze; jako grupę pozbawioną różnic społeczno-zawodowych czy zróżnicowania w dochodach. W taki oto sposób Romowie są postrzegani zawsze i w każdej sytuacji - jako słabi i niezdolni do działania.

Dr Tommaso Vitale
– włoski politolog i socjolog;
wykładowca na Università degli Studi di Milano w Mediolanie i na uniwersytecie Science Po w Paryżu; gościnny wykładowca na Central European University (Budapeszt); autor książek i artykułów na temat m.in. konfliktów i zmian społecznych w metropoliach oraz segregacji przestrzennej; członek komitetu naukowego włoskiej serii wydawniczej „Globalizzazione, partecipazione, movimenti”

Niedostrzeganie stratyfikacji i wielorakości grup romskich prowadzi do utrwalenia się fatalizmu. Niektórym ludziom wydaje się, że te same osoby narodości romskiej zebrzą od wielu lat. Nie dostrzega się możliwości integracji, perspektyw dobrego współżycia, mobilności społecznej. Nie wierzy się w możliwość działań społecznych wspierających rodziny najbardziej niezaradne, będące w najtrudniejszej sytuacji, ponieważ los całej grupy etnicznej wydaje się być przesądzony. W końcu sprowadza się to do przekonania, że Romowie chcą żyć w brudzie, w trudnych warunkach, że Romowie nie są zainteresowani zmianami na lepsze. A to nie ma żadnego potwierdzenia w rzeczywistości.

Rasizm, nienawiść, przemoc – co i rusz hasła te pojawiają się w lokalnych mediach w Europie Zachodniej w kontekście obecności Romów. I skutkują przypisywaniem im wszelkich win, utrwalają krzywdzące stereotypy. Wszystko według starego scenariusza, rozpowszechnionego wśród populistycznej prawicy europejskiej.

W wielu krajach Europy Zachodniej, kiedy samorządy przystępują do likwidacji obozowisk romskich, robią to bez żadnego porozumienia z konsulatami rumuńskimi, bo dyplomacja rumuńska zrzeka się jakiegokolwiek odpowiedzialności, rezygnuje z bronięcia życia i godności swych obywateli. Po części wchodzi w to miejsce tzw. trzeci sektor, pojawiają się także przejawy solidarności ze strony małych, nieformalnych grup współczujących obywateli. Ale ich „broń” nie jest imponująca. Są, jeśli w ogóle, tylko ledwo zauważalni. Mają wiele dobrych pomysłów, zgłaszają sensowne propozycje w zakresie prowadzenia zrównoważonej polityki romskiej. Ale jest jeszcze ciągle spora nierównowaga sił; niewielka jest zdolność takich ludzi do mobilizacji społecznego poparcia i kompletna asymetria w konfrontacji z władzą.

Pochwała siły

W tej złożonej sytuacji wynikającej z zaniedbań i demagogii trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz: coraz częstsze wykorzystywanie sił policji w celu rozwiązywania konfliktów i problemów współżycia społeczności odmiennych etnicznie. Chodzi o pokazanie danego miasta i samorządu lokalnego jako zdolnych do stosowania przemocy w majestacie prawa.

W tym względzie szczególnie wymowny jest przykład włoski. Otóż w naszym Pięknym Kraju [Bel Paese - uświęcone tradycją określenie Włoch – przypis tłumacza] stosowanie przemocy zgodnie z prawem jest prerogatywą państwa i jest realizowane przez wojsko (w odniesieniu do kwestii miejskich - przez karabinierów) i przez Policję Państwową, nie przez przypadek taką właśnie noszącą nazwę. Nie należy lekceważyć faktu, że kontrola terenów i procedur likwidowania obozowisk romskich jest systematycznie realizowana z wykorzystywaniem policji lokalnej, w szczególności komórki o nazwie Centrum Rozwiązywania Problemów Terytorialnych [Nucleo Problemi di Territorio – przypis tłumacza]. Nie przypadkiem przecież miała miejsce taka sytuacja: 10 lutego 2010 roku Związek Zawodowy Pracowników [SdL – Sindacato dei Lavoratori – przypis tłumacza] Policji Lokalnej w Mediolanie wystąpił z oświadczeniem do prokuratora, w którym wyraża zastrzeżenia co do wykorzystywania przez zastępcę burmistrza i dowództwo policji lokalnej tejże policji lokalnej do eksmisji w sytuacji nieobecności funkcjonariuszy publicznych do spraw bezpieczeństwa, bowiem przez związek interwencje te były postrzegane właśnie jako interwencje na rzecz porządku publicznego.

Z jednej strony istnieją oczywiście w tym układzie cele demagogiczne, zmierzające do pozyskiwania poparcia politycznego (zwłaszcza w kontekście stosunków koalicyjnych) oraz poparcia wyborczego poprzez uznanie pewnej „realności” działań samorządu lokalnego (co niekoniecznie oznacza „skuteczność” tych działań). Idzie w szczególności o stałe podsuwanie mediom do publikacji danych dotyczących liczby akcji eksmisyjnych, a zarazem ślaniem próśb pod adresem rządu centralnego o wysłanie wojska do pilnowania miasta.

Jednak jest w tym i coś innego: pokusa, by poprzez próby definiowania na nowo uprawnień i legalnego instrumentarium miasta potwierdzać swoją rolę i coraz większą władzę autonomiczną. Znaczącym przykładem jest tu Mediolan. Przeprowadzanie ustawicznych eksmisji może i nie było powszechnie dobrze postrzegane, ale wynikające z tego przededefiniowanie zakresu władzy i stopnia autonomii nie mogło zostać niezauważone.

Przypadek Mediolanu jest emblematyczny dla dynamicznych procesów widocznych w wielu innych miastach europejskich. Władze miast zarządzają eksmisje po to, by pokazać swoją siłę innym, sąsiednim gminom, władzom regionu, ale także władzom lokalnym czy ministerstwu spraw wewnętrznych. A chodzi tu o władzę dość „starą”, czy „staroświecką”, która nie bierze się z najnowszych wyrafinowanych możliwości, jakie oferuje Unia Europejska, nie z wykładów strategicznego programowania, nie z otwartego multipoziomowego koordynowania, nie z dedykowanych negocjacji czy współzawodniczącego pilotażu. Władza, o którą idzie, bierze się z eksponowanego stosowania przemocy. To władza w sobie i dla siebie. Niezwiązana wymogami odpowiedzialności (accountability) za wyniki, za bilans kosztów czy korzyści.

Zacznijmy od solidarności

Eksmisje pociągają za sobą twarde konsekwencje dla osób, które padają ich ofiarami. Eksmisje brutalizują życie lokalnej demokracji. Ale mają też doniosłe znaczenie kulturowe – z jednej strony oznaczają negowanie istnienia humanistycznej wspólnoty, a z drugiej nakręcają obieg fatalizmu. Jednakże nawet w sytuacjach, w których stereotypy i uprzedzenia są silniejsze, a rasizm pokazuje swoje bardziej brutalne i cyniczne oblicze, zawsze jest jakaś przeciwwaga. Są ludzie, którzy się spotykają, Romowie i nie-Romowie, czyli gadzie, są kręgi, kluby i stowarzyszenia, które promują takie spotkania. Dzieci zaczynają się razem bawić. Oto formy zorganizowanej solidarności. Czasami mieszkańcy są pozornie obojętni, o ile nie wrodzy, ale na przykład jakiś emeryt zaczyna organizować dla dzieci z nielegalnego obozowiska akcję zwaną we włoskich miastach „pedibus”, czyli wspólne chodzenie pieszo grupy uczniów pod opieką dorosłego do i ze szkoły podstawowej. Czasem zaczynają coś robić jakaś pielęgniarka, katecheta lub trener sportowy. Zaczyna się od bycia razem, od stopniowego poznawania się, rozpoczynają się wspólne przedsięwzięcia, targi pracy, doradztwo w zakresie edukacji czy zatrudnienia. Ważne rzeczy w życiu: wzajemna pomoc, aby cokolwiek zrozumieć z trudnego świata pracy, edukacji czy rynku nieruchomości.

Te formy lokalnej solidarności są słabe w zestawieniu z polityką, ale są twórcze. Denuncjują nadużywanie siły przez niektóre instytucje. Nabierają odwagi dzięki sojuszom z innymi instytucjami (np. ze szkołami). Odgrywają w pełni swoją służbę solidarności w kategoriach politycznych, przypominając o poszanowaniu konstytucji i żywotnych praw ludzi. Ich celem jest

zdobycie głosu dla siebie, ale i oddanie głosu Romom.

Eksmisja bez żadnej alternatywy dla eksmitowanego to maksymalny stopień stosowania demagogii w polityce miejskiej. Solidarność mieszkańców z przybyszami budzi nadzieję, pokazuje, że działania zwykłych ludzi potrafią być skuteczne, że przynoszą dobre efekty. W ten sposób rodzi się nowa perspektywa wspólnotowego życia razem w miastach. Tym bardziej gdy władze zaczną dostrzegać dobre skutki lokalnie zmobilizowanej solidarności, a nie tylko słuchać głosów ksenofobicznych i rasistowskich. Kiedy zaczynają myśleć o rozmaitych instrumentach działań publicznych. Władze miast mogą i potrafią uprawiać skuteczną politykę integracji społecznej, choćby w ramach ograniczeń budżetowych. Nie zamykają wtedy oczu na realne problemy, także te związane z drobną przestępczością.

Głównym zadaniem wszystkich władz lokalnych jest przecież rozwiązywanie problemów ludzi i zapobieganie konfliktom, także, a może głównie, na tle etnicznym, a nie eskalowanie ich.

Tommaso Vitale

Z włoskiego przełożył Krzysztof Górski

Bibliografia:

<http://www.cee.sciences-po.fr/en/le-centre/research-team/258-tommaso-vitale.html>

Aktualne dane na temat eksmisji w miastach francuskich znajdują się na stronie:

<http://www.aedh.eu/Recensement-des-evacuations.html>

<http://ec.europa.eu/social>

Legros O., Vitale T., *Les migrants roms dans les villes françaises et italiennes : mobilités, régulations et marginalités*, Géocarrefour, vol. 86, n. 1, pp. 3-14, 2011

Na temat sytuacji francuskiej zob. Bruneteaux P., Benarrosh-Orsoni N., *Intégrer les Rroms?*, Paris, L'Harmattan, 2012

Pozwolę sobie odesłać do mojej pracy Vitale T., *Politiche possibili. Abitare le città con i rom e i sinti*, Carocci, Roma, 2009

A poza tym nic na działkach się nie dzieje

- ☼ Czy jest możliwe, by w samym centrum miasta powstały slumsy?
- ☼ Czy jest możliwe, by przez lata żadna władza nie zauważyła, jak narasta dramat? ☼ Czy jest możliwe, by ludzie nie mogli liczyć na żadną pomoc? ☼ Tak, to jest możliwe. ☼ **We Wrocławiu**

Michał Kowalski

Fotografie Adam Lach/NAPO IMAGES

Romowie na opuszczonych ogródkach działkowych przy ul. Kamieńskiego we Wrocławiu pojawili się trzy lata temu. Sklecieli swoim zwyczajem domki z dykty i kawałków drewna powynajdywanych na śmietnikach, uszczelnili jakąś budowlaną pianką. I trwają. Jaka niewidzialna siła trzyma ich w tym miejscu i nie pozwala zawalić się biedabudkom? Może siła woli, której celem jest przetrwanie?

Nomada

Ilu ich jest? Różnie, 60-80 osób. 70 procent to dzieci i młodzież poniżej 18. roku życia. Najczęściej to przybysze z rumuńskiego Fagarash. By przetrwać, muszą żebrać. By dostać coś na żebrach, muszą brać dzieci, bo inaczej nikt się nie ulituje. Pracy nikt im nie daje.

Znają już polski całkiem nieźle. Mówią: „żyjemy źle, ale i tak lepiej niż w Rumunii”. Wrocław wybrali, bo ludzie są im przyjaźniejsi, dają pieniądze, ale przede wszystkim nie bije ich ani policja, ani nikt inny. Rzadziej są celem wyzwisk, zniewag, opluwania. To miasto dało im nadzieję, że w życiu może być lepiej.

Ale z punktu widzenia ludzi żyjących w standardach polskich ten ich przystanek, ta ich nadzieja, ten ich dom wyglądają strasznie.

- Odkryłyśmy ich jakieś trzy lata temu - mówi Joanna Janiszewska ze Stowarzyszenia na rzecz Integracji Społeczeństwa Wielokulturowego „Nomada”



7 maja 2012

we Wrocławiu. - Ktoś - już nie pamiętam kto - dał nam cynk. Nie wiedzieliśmy, jak się do nich dostać. Czy można ot tak po prostu sobie tam pójść? A szła zima. Zawiozłyśmy im więc okrycia, kołdry, buty, opał. Przy okazji zrobiliśmy rekonesans i sprawdziliśmy, czy możemy im jakoś pomóc.

Na miejscu szok. - Wchodzisz i nie wierzysz, że jesteś we Wrocławiu, że jesteś w centrum miasta. Ja wiem, że we wszystkich dużych miastach są slumsy, tylko że jest to fakt zaakceptowany przez społeczność tych miast i nikt tego nie ukrywa, nikt nie zamiata tego pod dywan. I coś się z tym robi - dodaje Agnieszka Szczepaniak z „Nomady”.

Najpierw byli bardzo zdziwieni, że ktoś przychodzi i oferuje pomoc. Potem na „Nomadę” runęła lawina potrzeb. A od wiosny był już regularny kontakt, kilka razy w tygodniu.

Ludzie

Obok ogródków jest osiedle bloków.

- Wie pan, przychodzi zima, to oni zaczynają palić w tych swoich prymitywnych piecach. Smród na całym osiedlu - mówi Rafał. - Przychodzi do mnie wieczorem jakaś taka kobitka z dzieckiem, że wody nawet nie ma, żeby je umyć. Daję jej wiadro ciepłej wody, a gdy po nie schodzę, okazuje się, że kożysta z niego już pięć czy sześć kolejnych osób. No są po prostu bardzo



uciążliwi. Dlaczego my mamy rozwiązywać ten problem? Ja jestem człowiekiem tolerancyjnym, ale od tego, by rozwiązać tę sprawę, mamy urzędników. A oni nie robią nic.

5 maja 2013

Początkowo wielu ludzi pomagało przybyszom z czystego odruchu serca. Potem pomocy było coraz mniej, skarg do straży miejskiej - coraz więcej. Zwłaszcza jak przyszło zimno i Romowie zaczęli nocować na klatkach schodowych.

Władza

Miasto poczuło się ofiarą zbiegu okoliczności.

- Romowie są na naszym terenie i w związku z tym oczekuje się od nas podjęcia określonych działań. Ale uzyskanie tytułu egzekucyjnego, który pozwoliłby na usunięcie koczowiska z tego terenu, to długotrwały, kosztowny i niekoniecznie skuteczny proces sądowy - tłumaczył w połowie 2012 roku Paweł Czuma, rzecznik prasowy wrocławskiego magistratu. - Tymczasem rozwiązania na tym terenie muszą mieć charakter systemowy, a wypracowane być powinny przez wiele służb państwowych, na które samorząd nie ma najmniejszego wpływu, a które mają szereg niezbędnych środków do unormowania tej sytuacji.

A czas sobie płynął. Kolejne miesiące na koczowisku wyglądały podobnie. Rodziny przyjeżdżały i wyjeżdżały. Romowie zebrali, zbierali i sprzedawali złom, urzędnicy dyskutowali, a „Nomada” pomagała i wspierała.

Na koczowisku pojawia się straż miejska, później Straż Graniczna, w końcu pracownicy Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Nikt nie wie jednak, co zrobić, by wszyscy byli zadowoleni. Zaczyna się pomoc doraźna. MOPS

27 marca 2012

dostarcza wodę i toi-toie, strażnicy wlepiają mandaty, a Romowie żyją nadal. Po swoim. Zupy od MOPS-u nie chcieli, co urzędników wzburzyło niezmiernie. No bo jak to? Za darmo i nie chcą?!

- Pomagać trzeba umieć. U Romów przygotowywanie posiłków jest związane ze sferami czystości i nieczystości. Skoro nie wiedzieli, kto i jak posiłek przygotowywał, to mogli się obawiać, że był nieczysty. Może lepiej było dać im marchew, warzywa, żeby ugotowali sobie to wszystko sami? Może trzeba ich zapytać, czemu tej zupy nie chcą? - pyta Janiszewska.

Przyszła kolejna zima 2011/2012. O Romach z Kamińskiego wiedział już cały Wrocław. Dumne hasło reklamowe mające promować miasto: „Wrocław - miasto spotkań”, nawiązujące do jego multikulturowości i multietniczności w przeszłości, zaczynało pachnieć groteską. Nieoficjalnie ci, którzy pomagali Romom, zdawali sobie sprawę, że miasto tak naprawdę nie chce im pomóc, bo boi się, że na ich miejsce przyjdą kolejni. A mieszkańcy okolicznych wysokościowców kierowali do urzędu miasta coraz ostrzejsze skargi przeciwko „Romom z Kamińskiego”.

W marcu 2012 roku po raz pierwszy pojawia się informacja o likwidacji koczowiska, która według ustaleń „Gazety Wyborczej” miała się odbyć 21 marca o 6 rano. Poinformowano nawet odpowiednie służby, policję, a także pełnomocnika wojewody ds. mniejszości Dariusza Tokarza. - Jakikolwiek rozwiązanie siłowe wobec tych ludzi, którzy są przecież obywatelami Unii Europejskiej i mają swoje prawa, mogłoby spowodować międzynarodową reakcję i posądzenia o rasizm i nietolerancję - powiedział wówczas „Gazecie” Tokarz.

Ostatecznie akcję odwołano, a straż miejska tłumaczyła, że chodziło tylko i

Michał Kowalski

- prawnik, muzyk, publicysta, propagator wolnej kultury. Prowadzi serwis Muzykaiprawo.pl.



29 czerwca 2012



5 maja 2013
20 marca 2012

wyłącznie o oczyszczenie pobliskiego terenu. Romowie zaś nadal chodzili po wodę do okolicznych bloków, a prąd dostarczały im dwa agregaty na benzynę. Warunki życia - po staremu, czyli fatalnie.

Pod koniec marca 2012 roku Paweł Czuma zapewniał: - To miejsce otoczył swoją opieką Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, choć nie musiał. W czasie zimy ci ludzie otrzymywali jedzenie, środki czystości i ubrania. Szczególnie zatroszczono się o dzieci.

Dzieci

Romowie szczególnej formy opieki nie zauważyli aż do czerwca 2012 roku. Wtedy to państwowy powiatowy inspektor sanitarny we Wrocławiu wydał ostrzeżenie przed „możliwością wzrostu liczby zachorowań na odrę, szczególnie wśród dzieci i młodych dorosłych lokalnej społeczności, zwłaszcza osób uprzednio nieszczepionych i z nieprzechorowaną odrą”. Na koczowisku przebywało około 30 dzieci. Do szpitala trafiło siedmioro. U kilku następnych stwierdzono łagodną formę choroby. Inspektor nakazywał „maksymalne ograniczenie kontaktów z potencjalnym źródłem zakażenia (zebrzące dzieci romskie)”. Mimo tak dziwnego tonu urzędnika udało się zaszczepić 13 dzieci.

Sprawa Romów wrocławskich trafia coraz częściej do mediów krajowych. Na koczowisku panuje stan klęski humanitarnej.

- Nie muszę się zastanawiać, co zrobić z rzeczami po moich dzieciach - wszystko idzie na koczowisko - mówi Agnieszka Szczepaniak. - Ubrania w trudnych warunkach szybko się zużywają, dużym problemem jest brak butów, a największym - pieluch jednorazowych. Dzieci są odwitaminizowane, bo słabo się odżywiają, ciągle dopadają je infekcje i przebiegania, są na nie bardzo podatne. Mamy nie chcą z nimi żebrać, wychodzą i wracają bez pieniędzy, więc większość jest głodna.

Były trzy przypadki sądowego pozbawienia romskich matek władzy rodzicielskiej. Wniosek zgłaszały szpital, pracownik socjalny lub MOPS; dzieci były oddawane do adopcji.

Agresja

Na początku 2013 roku do urzędu miasta trafia list mieszkańców bloków, którzy twierdzą, że przez obecność koczowiska spada wartość ich mieszkań. 26 marca magistrat daje Romom oficjalnie dwa tygodnie na wyprowadzkę. Jeżeli się nie wyniosą, grozi im sprawa sądowa oraz mandaty. To początek drogi do uzyskania tytułu egzekucyjnego, czyli zgody na w pełni legalną eksmisję. Romowie mówią, że nie mają gdzie iść. Miasto zarzuca im, że nie chcą współpracować.

Sprawę biorą w swoje ręce nacjonaści. Ich portal Nacjonalista.pl pisze: „Problem nielegalnych imigrantów musi być ostatecznie rozwiązany. Nie można pozwolić, żeby aspołeczny i antynarodowy element stanowił obciążenie dla rdzennej ludności. Cyganie dodatkowo niszczą reputację europejskich narodów - tj. Rumunów i Bułgarów, gdyż poprzez medialne manipulacje opinia publiczna błędnie utożsamia ich ze wspomnianymi nacjami”.

Na Facebooku powstaje wydarzenie „Likwidacja cygańskiego koczowiska”. Jako datę jego realizacji podano 20 kwietnia - dzień urodzin Hitlera. Wydarzenia zakłada znany z działań Narodowego Odrodzenia Polski we Wrocławiu Dawid Gaszyński.

Inni dają swój upust na internetowych forach: „Trzeba spalić Cyganów

razem z obozowiskiem”, „Pomóżmy mieszkańcom Kamińskiego pozbyć się syfu w postaci cyganów”, „Wyrzucimy brudasów z naszego miasta”.

W sprawę włącza się Amnesty International. „Społeczność Romów rumuńskich przybyła do Wrocławia w latach 90. Obozowisko przy ul. Kamińskiego powstało około trzech lat temu, po tym jak Romowie zostali wysiedleni z poprzedniego miejsca, które zajmowali. Teren, na którym znajduje się obozowisko, należy do gminy Wrocław. Ponieważ mieszkańcy obozowiska nie mają tytułu prawnego do ziemi, są narażeni na wszczęcie postępowania sądowego przeciwko nim i przymusowe wysiedlenie. Amnesty International przypomina polskim władzom, że zgodnie z powszechnie obowiązującymi standardami praw człowieka i zobowiązaniami, które wynikają z prawa międzynarodowego, wysiedlenia muszą być traktowane jako rozwiązanie ostateczne. Jeśli władze decydują się na taki krok, musi on być poprzedzony konsultacjami z osobami wysiedlanymi. Każda taka osoba musi otrzymać odpowiednie zawiadomienie o wysiedleniu, musi mieć prawo odwołać się od tej decyzji oraz otrzymać zadośćuczynienie za poniesione szkody i straty. Władze muszą także zapewnić, że wskutek wysiedlenia nikt nie będzie narażony na bezdomność. Muszą także zaproponować alternatywne miejsce zamieszkania, jeśli wysiedlane osoby nie są w stanie same go sobie zapewnić. Jeśli któryś z tych warunków nie zostanie spełniony, wysiedlenie będzie stanowiło poważne naruszenie praw człowieka i międzynarodowych zobowiązań Polski w tym obszarze”.

Nadchodzi dzień wyprowadzki, na koczowisku pełno dziennikarzy. Jednak straż miejska nie przyjeżdża. Spektakularnej akcji nie ma, widownia rozchodzi się.

Prawo

W internecie gorzej spór. Jarosław Perduta, rzecznik prasowy wojewody wrocławskiego, pisze: „Nie rozumiem, jak Wrocław - metropolia nad Odrą, którą Jan Paweł II nazwał »miastem spotkań«, kandydat do miana Europejskiej Stolicy Kultury, kandydat do EXPO, miasto »wielu kultur« z wielkimi aspiracjami, lider polskich samorządów i jedno z najbogatszych miast w Polsce z wielomiliardowym budżetem... nie jest w stanie zaproponować innego rozwiązania niż pozbycie się Romów poza własne granice”. I zaraz dodaje: „Co będzie, jak do Wrocławia, jak już będziemy prawdziwie europejskim miastem, zaczną zjeżdżać biedni ludzie z różnych stron świata szukający swojej szansy na lepsze życie? Kupimy im bilet w jedną stronę gdzieś daleko?”. Odpowiada mu Paweł Czuma: „Bardzo cieszy mnie Twoja troska o los rumuńskich Romów z Kamińskiego, wszak jesteś rzecznikiem wojewody - przedstawiciela rządu na terenie Dolnego Śląska. Tak się składa, że wszelkie narzędzia do rozwiązania tej sprawy i wszystkich podobnych spraw na terenie kraju leżą w rękach administracji rządowej: Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Straży Granicznej, Policji, i Sanepidu, więc przestań rozdierać szaty i poproś swojego szefa, by wziął się do roboty”.

Oficjalna odpowiedź Urzędu Miejskiego we Wrocławiu na apel Amnesty International nie pozostawia wątpliwości, jakie stanowisko zajmuje gmina. „Bezprawne zajęcie działek należących do gminy i zbudowanie na nich prowizorycznych lepierek stanowi także naruszenie norm prawa budowlanego i przepisów o zagospodarowaniu przestrzennym, czego również nie można tolerować. (...) Zwracamy uwagę, że w niniejszej sprawie to



25 marca 2012
16 kwietnia 2013

22 października 2012





gmina Wrocław jest stroną poszkodowaną (...) której konstytucyjne zagwarantowane prawo własności zostało naruszone. (...) Zarówno normy prawa polskiego, jak również międzynarodowego, nie wyłączają konstytucyjnie zagwarantowanego prawa własności, a także nie pozwalają żadnej grupie społecznej na notoryczne łamanie powszechnie obowiązujących przepisów prawnych, czyniąc ją uprzywilejowaną względem innych obywateli. Prawo jest równe dla wszystkich, obowiązuje tak samo Polaków, jak i Romów”.

Życie

Koczowisko trwa, a widmo likwidacji wciąż nad nim wisi.

A w pobliżu dużego Centrum Handlowego „Marino” już osiedla się kolejna grupa Romów. Urząd natychmiast wysłał do nich pismo z żądaniem opuszczenia terenu miejskiego.

Michał Kowalski

21 października 2012



Romskie osiedle w podparyskiej dzielnicy Montreuil
Fot. Raphaël Fournier

Przejście

- ⊗ Podparyskie **Montreuil** nie chce już sekować Romów.
- ⊗ Ma lepszy pomysł: integracja poprzez zakwaterowanie. ⊗ Rotacyjne

Sophie Bloch

Domofon przy drzwiach wejściowych, kwiaty na dole schodów, dziecięce rowery ustawione wzdłuż balustrady i zapach czystości, który nie pochodzi bynajmniej ze sztucznego odświeżacza powietrza: o czystość dba Estera, żona Visca. Dziś robi gruntowne sprzątanie, na klatce schodowej szoruje proszkiem i szczotką plastikową wykładzinę, która nie wygląda na nową. Od 15 października 2012 czyszczono ją już nieraz.

11 mieszkań na osiedlu integracyjnym przy ulicy Zoli w podparyskim miasteczku Montreuil stało się wizytówką francuskiej polityki wobec Romów. Dzięki nim 11 romskich rodzin może przez chwilę odetchnąć, poczuć się godnie: oto mają czyste mieszkanie, opłacone faktury, dobrze uczące się dzieci. Każda z tych rodzin dzieli podobny los; lata życia na ulicy,

squatach. Dziś nareszcie mają normalny dach nad głową, zwany „La Passerelle”, co oznacza „przejście do lepszego życia”. Do jakiego?

Dora, lokatorka spod numeru 10, odmawia odpowiedzi na to pytanie. Jej obecny luksus to łazienka w trzypokojowym mieszkaniu za 130 euro czynszu, do tego opłaty za prąd, szczególnie wysokie w zimie. By domknąć budżet, pracuje przez wiele godzin dziennie jako sprzątaczką. Jej przyszłość to sześcioro dzieci, czworo wnucząt i oczekiwany list od prefekta, z którego dowie się, czy ma prawo zapisać się na listę oczekujących na inne mieszkanie. Na osiedlu integracyjnym mieszka się bowiem w systemie rotacyjnym. Gdy jedna rodzina znajduje pracę i lepsze mieszkanie, inna zajmuje jej miejsce.

Zieloni a Romowie

Ta powtarzająca się historia wpisuje się w losy miasteczka Montreuil. Położone na wschodnich obrzeżach Paryża miasteczko to jest prawdziwym „zagłębiem” loftów dla zamożnej „bohemy” paryskiej. Montreuil od dawna zamieszkiwały dziesiątki tysięcy emigrantów. Jako pierwsze osiedliły się tu w XIX wieku rodziny Cyganów z Europy Wschodniej; obecnie są to głównie Romowie rumuńscy, w mniejszym stopniu bułgarscy. „Na terenie miasta są rodziny, które znamy od końca lat 90. Byli przetrucani ze squatów do osad campingowych przy autostradzie. Dziś jest ich około 200” - mówi Claude Reznik, odpowiedzialny za Romów w urzędzie miasta Montreuil. To ważna funkcja, zważywszy na strukturę demograficzną miasta, a także na to, że jest zastępcą Dominique Voynet, historycznej liderki francuskiej partii Zielonych, która w 1998 roku wprowadziła ją po raz pierwszy do rządu.

Voynet wie, czego chce. W 2008 roku stanęła w szranki z komunistą w wyborach lokalnych w Montreuil i je wygrała. Chciała nowej polityki. Jej poprzednik zabarwiał na niebiesko wodę w fontannach miejskich, by Romowie nie mogli z niej korzystać, ona zaś sprzeciwiła się systematycznym eksmisjom, zlecając Claude’owi Reznikowi opracowanie nowych rozwiązań. Trzeba było działać w pośpiechu, bo w lipcu 2008 pożar zniszczył doszczętnie romski squat. 298 osób, w tym 120 dzieci, znalazło się na ulicy. „Nie było czasu do namysłu - wspomina Reznik - wszystkich przygarnęliśmy, bez wyjątku. Nasze działanie miało charakter absolutnie polityczny”. Wydzielili najpierw dwie, później trzy działki, lepiej lub gorzej wyposażone. Na jednej ustawili przyczepy campingowe pożyczone od stowarzyszenia Abbé-Pierre. Podpisana została konwencja o współpracy z trzema zespołami zajmującymi się integracją społeczną i zawodową, i wreszcie, w 2010, Montreuil rozpoczęło program MOUS, którego celem była integracja poprzez zakwaterowanie. Wcześniej podobny program wdrażały miasta Bordeaux i Aubervilliers. W Montreuil udało się nim objąć aż 350 osób.

Wszystko dla nich, nic dla nas

„Robicie dla nich wszystko, dla nas nic”. Ten zarzut Claude Reznik słyszy często na zebraniach z mieszkańcami miasta, lub gdy zachodzi do kawiarni l’Amourette na rogu ulic Robespierre’a i Republiki. Towarzyszy temu nieodłączne pytanie: „Ile to kosztuje?”. Często odpowiada: „Nie chcę wiedzieć, ile miasto wydaje na pomoc osobom starszym, a ile na Romów”. Czasami podaje liczby, co do których oponenti mają wątpliwości, szacując koszty na prawie 710 tys. euro rocznie, z czego 280 tys. to dotacja z budżetu państwa. Subwencje regionalne i departamentalne pozwalają ponadto zmniejszyć roczny wkład lokalny, który wynosi na jednego mieszkańca

Sophie Bloch

Francuska dziennikarka, pracowała dla *La Dépêche du Midi* oraz była redaktorką naczelną *Paris-Normandie*.

Montreuil 7,2 euro. A to dlatego, że Romowie, i to nie tylko w Montreuil, nie są lubiani przez swoich sąsiadów, nawet jeśli odnotowywane wykroczenia to sprawy błahe: źle zaparkowane samochody, przeszukiwanie koszyków na śmieci, kłótnie z pracownikami firm wywózki śmieci, agresywne żebranie. Owych wykroczeń powinno być coraz mniej dzięki programowi MOUS, który zakłada, że edukacja dzieci + dostęp do opieki medycznej + do zatrudnienia + do zakwaterowania = integracja.

Wskaźniki edukacyjne dla romskich dzieci są dobre; poziom absencji w szkole jest prawie ten sam, co w przypadku uczniów z Montreuil. Zapowiedziane zniesienie ograniczeń administracyjnych w styczniu 2014 roku dla rumuńskich i bułgarskich Romów powinno otworzyć nareszcie dostęp do legalnego zatrudnienia. W kwestii zakwaterowania w ramach programu MOUS istnieje nadal przepaść pomiędzy lokatorem z integracyjnego osiedla przy ulicy Zoli i tym, który żyje w marnym obozie przy ulicy Montagne-Pierruse. Pierwszy z nich jest w stanie opłacić czynsz w wysokości 80 euro, bez kłopotu przyrzeka przestrzegać zasad tam obowiązujących, bierze los w swoje ręce. Drugi z trudem wysupła euro na zapłacenie za miejsce w obozie zamkniętym i pod stałą kontrolą. Czy ten ostatni będzie miał dość czasu, siły i okazji, by pokonać tę przepaść?

Złość małej dziewczynki

Trudno odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej że program MOUS jest ograniczony w czasie: trwa trzy lata, ewentualnie można go przedłużyć dwa razy o rok. Z tego powodu właśnie miasto Aubervilliers pod koniec programu zaczęło udostępniać mieszkania dotąd przeznaczone wyłącznie dla Romów innym potrzebującym lokatorom, dla których pomoc społeczna pochodzi z innych, lepiej finansowanych źródeł. Efekt tych działań jest zdecydowanie pozytywny: udało się pomóc 33 osobom dorosłym i 34 dzieciom. Jacques Salvator, mer miasta, zabiega, by powołano prefekta do spraw koordynacji polityki zakwaterowania dla osób bezdomnych. Prefekta chroniącego przed eksmisją.

Tymczasem nadal wykonywane są decyzje sądowe: 25 kwietnia 2013 roku w Montreuil wyrzucono siłą 40 Romów z nielegalnego obozu. Komentarz urzędu miasta był zwięzły, streszczał się mniej więcej do stwierdzenia, że „chcąc kontynuować odważną politykę, której celem jest zachowanie równowagi społecznej w mieście, trzeba zrobić wszystko, by zapobiec powstawaniu nielegalnych slumsów”. I tak się stało. Kilka miesięcy wcześniej wezwano oddziały prewencyjne policji, gdy przeciwnicy osiedli integracyjnych przebijali opony maszyn pracujących na budowie. Czy zatem w Montreuil robi się zbyt wiele dla Romów? Zbyt mało? „Robimy, co możemy - zauważa Reznik - niech inne miasta robią to samo”. I jeśli się da, z podobnym zapałem. Z takim, z jakim na przykład Mickaëlle Malet, koordynatorka stowarzyszenia Cité Myriam, odprowadza codziennie do szkoły siedmioletnią romską dziewczynkę, która zapiera się przed tym rękami i nogami. Odcinanie pępownicy w przypadku dzieci, które latami żyły na ulicy, pozostając z matką w nierozzerwalnych relacjach, jest bolesne, dlatego sceny rozgrywane się co dzień pod szkołą są tak przykre. Wszyscy jednak trzymają się dzielnie, nikt nie ustępuje dziecku: ani rodzice, ani nauczyciele, ani Mickaëlle. Muszą wytrwać, bo wiedzą, jaki jest cel.

Sophie Bloch

Z francuskiego przełożyła Jolanta Kurska

Cygan i słońcem kręci

☀ Historia współżycia Ukraińców i Cyganów na jednej ziemi liczy co najmniej sześć wieków. ☀ Bliskie kontakty tych dwóch tak różnych nacji sprawiły, że w świadomości ludzi zaczął funkcjonować uproszczony, emocjonalny i krzywdzący obraz Romów

Jurij Siłec'kyj

W oczach Ukraińców Cygan nie przywiązuje się do ziemi, gospodarstwa, domu czy wsi. Ta opinia, a także odmiennosc języka i obyczajów - zazwyczaj niezrozumiałych dla Ukraińców - sprzyjały przeświadczeniu, że Cygan to włóczęga. Przysłowia: „Włóczy się po świecie jak Cygan” (Jurczenko, Ivczenko 1993, s. 159) czy „Cygana nogi swędzą” (Franko 1909, s. 292) mówią o Cyganie jako o człowieku niespokojnym, który nie może znaleźć sobie miejsca, wciąż wędruje.

Mięskielbsadło

Wśród Ukraińców, jak wśród wielu innych narodów Europy, Cyganie mieli reputację złodziei. To także utrwaliło się w przysłowia, np. „Co Cygan, to złodziej” (Franko 1909, s. 293). Brytyjski badacz Raymond Buckland w pracy „Cyganie: tajemnice życia i tradycje” tłumaczy, że to, iż Cyganie mieli reputację złodziei, było konsekwencją tego, że wierzyli oni, że wszystkie drzewa, kwiaty, ptaki i zwierzęta stworzone są dla wspólnej radości (Buckland 2003, s. 14).

Cyganie uważani byli za spryciarzy i ludzi bystrych.

Mowa o tym w przysłowia: „Kręci światem jak Cygan słońcem” (Jurczenko, Ivczenko 1993, s. 159) albo: „Cygan i słońcem kręci” (Nomys 1993, s. 166).

Skłonosc Cyganów do przebiegłości i posługiwania się kłamstwem ilustruje anegdota „O, tak ja jemu głowę ukręciłem” (Nomys 1993, s. 83): *Wprosił*

się Cygan do gospodarza na obiad, a gospodyni tak położyła półmisek na stole, żeby lepsze kawałki mięsa znalazły się blisko męża i dzieci. Cygan, nie rozmyślając długo, zaczął opowiadać historię o tym, jak złapał wróbla. Pod koniec ze słowami: „O, tak ja jemu głowę ukręciłem!” przekręcił talerz w ten sposób, że smaczne kąski znalazły się z jego strony. O bystrości Cyganów świadczy także anegdota „Męskielbsadło” (Nomys 1993, s. 624-625). Pewien podróżny obiecał Cyganowi, że nakarmi go, jeżeli ten najpierw odgadnie, co ma w torbie. Cygan dowcipnie powiedział: „Mięskielbsadło”. Jednak nie zawsze przebiegłość Romów oceniano negatywnie. Jeśli dzięki swojemu sprytowi Cygan przechrzył nie ukraińskiego chłopca, ale pana lub urzędnika, wówczas występował jako bohater. Właśnie tak dzieje się w historyjce „Ano, Panie i mnie tak!”. Pan chciał zażartować z głodnego Cygana i przy stole, na którym leżało smaźone prosię, powiedział: „Co ty najpierw zrobisz prosiakowi, to ja ci to samo zrobię, a wtedy będziemy jeść”. Nie namyślając się długo, Cygan pocałował prosiaka pod ogonkiem i powiedział: „Ano, Panie i mnie tak!” (Nomys 1993, s. 323).

O przebiegłości Cyganów świadczy również taka opowiadka: *Szedł Cygan z synem drogą. Z naprzeciwka bryczką jechał pan, zatrzymał się i wypytował Cygana, z czego żyje. Cygan odpowiedział, że z „mantyła”. Zaciekawil się pan tym „mantyłem” i poprosił Cygana, by mu je pokazał. Cygan na to, że „mantyło” ma w domu i najlepiej będzie, jeżeli pan da jego synowi konia, aby szybko przywiózł to cudo. I tak się stało. Długo czekali na powrót chłopaka, aż Cygan „domyślił się”, że zapomniał powiedzieć synowi, gdzie schował „mantyło”. Poprosił więc o drugiego konia... Dostał go, i tyle go widzieli (Socialno-pobutova... 1987, s. 123-124). Frazeologizm „cygańskie mantyło” oznacza kłamstwo, oszustwo.*

Powiedzenie: „Jakbym był królem, to ukradłbym sto złotych i uciekłbym!” (Nomys 1993, s. 542) utwierdza nas w przekonaniu, że Cygan zawsze będzie myślał o sobie.

Starczy nam tego jak na cygański ząb

Ukraińskie przysłowia i anegdoty opisują Cyganów jako naród, który lubi muzykę, pieśni i tańce. Powiedzenie „Ginie jak Cygan bez muzyki” (Nomys 1993, s. 159) odnosi się do człowieka, który nie może się bez czegoś obejść. „Dorwał się jak Cygan do miodu” (Jurczenko, Ivczenko 1993, s. 159), „Je jak Cygan marcepany” (Jurczenko, Ivczenko 1993, s. 159), „Najadł się jak Cygan surowizny” (Nomys 1993, s. 537), „Starczy nam tego jak na cygański ząb” („Będzie dużo, bo Cygana uważali za człowieka żarłocznego” - komentuje Franko 1909, s. 293) - te i podobne powiedzonka mówią o nieregularnym odżywianiu się Cyganów, o głodzie spowodowanym biedą. Świadczy o nich też cygańska skarga przytaczana przez Ukraińców: „Moja matka między dwoma chlebami umarła - jednego nie doczekała się, a drugi już minął” (Nomys 1993, s. 82). Temu, kto szedł spać bez kolacji, mówiło się: „Cyganie będą ci się śnili” (Nomys 1993, s. 499).

Człowieka, który chciał dysponować tym, czego jeszcze nie posiadał, ostrzegano: „Powoli, bo grzbiet złamiesz!” (Franko 1909, s. 292). Słowa te ilustruje taka anegdota: *Cygan podsłuchał, jak małe dzieci fantazjowały, że będą jeździć na cielątku, które kiedyś urodzi krowa. Zaraz zaczął je „bić”, wykrzykując: „Powoli, bo grzbiet złamiesz!”.*

Cyganie byli uważani przez Ukraińców za ludzi leniwych i niechętnych

Bibliografia:

- Buckland R. „Cyganie: tajny żywni i tradycyi”, FAIR-PRESS, Moskwa 2003
 Barannikov O. „Ukrajinski cyhany”, Wydawnictwo Vseukrainskoji Akademij Nauk, Kyiv 1931
 Belikov O. „Viruvannja romiv Ukrainy jak istoryko-religijznawcze dżerelo” [w:] http://members.tripod.com/oriental_studies
 Bońkowska S. „Kovalstvo na Ukraini (XIX - poczatok XX stolittja)”, Naukova Dumka, Kyiv 1991
 Franko I. „Halycko-ruski narodni prypovidky” [w:] *Etnograficznyi zbirnyk*, T. 23, Lwiv 1909
 „Halycki prypowodky zibrani Hryhorijem Ilkoviczom”, Lwiv, 2003
 Jurczenko O., Ivczenko A. „Slovnyk stijkych narodnych porivniań”, Osnova, Charkiv 1993
 Kraszewski J. „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1985

pracy fizycznej. Ilustruje to porzekadło: „U nas po cygańsku: nie chce pracować - nie zmuszaj; jeść nie chce - bij” (Nomys 1993, s. 487).

I stary Cygan nie zrozumie

Chociaż Cyganów dotyczyło wiele stereotypów, przypisywano im też sporo zalet. Cygan, a dokładniej stary Cygan uważany był za człowieka doświadczonego, mądrego, który mógł wspomóc dobrą radą w trudnych sprawach. „I sam stary Cygan nie zrozumie” (Nomys 1993, s. 323) - tego powiedzenia używano w skomplikowanych sytuacjach. Historyjki, w których Cygan na rodzinę i bliskich przysięga, że mówi prawdę, są gwarancją dotrzymania słowa. Ale i tu znajdujemy ślady cygańskiego sprytu. Przysięgi, którymi posługiwali się Cyganie, miały taką formę, że ich naruszenie nie zaszkodziłoby nikomu. „A żeby do zachodu słońca swoich dzieci nie zobaczył” (Nomys 1993, s. 82) oznacza, że do zachodu słońca da się wytrzymać bez ich widoku. Znana jest i taka przysięga: „Żeby umarł, jeżeli mówię nieprawdę” (Nomys 1993, s. 82); ale jak trafnie zauważa Matwij Nomys, wszyscy kiedyś umrzemy, więc w przysiędze nie ma ryzyka.

Ukraińska kultura ludowa stworzyła niejednoznaczny obraz Cygana. Z jednej strony - włóczęga, złodziej i oszust, więc gdy się pojawiał, wieśniacy zamykali drzwi chaty i wrota obejścia. Z drugiej strony - biedak, który często nie tylko nie miał w co się ubrać, ale i za co nakarmić rodzinę. Dlatego jak miał czym, to handlował, jednak czasami żył tylko z kradzieży.

Jednocześnie Cyganie są weseli, dowcipni, beztroscy. Dlatego mimo krzywdzących często sądów darzeni też byli sympatią.

Jurij Siłeckij

Z ukraińskiego przełożyła Malva Volk

Mróz L. „Dzieje Cyganów-Romów w Rzeczypospolitej XV-XVIII w.”, DIG, Warszawa 2001

„Mudryj opovidacz. Ukraiński narodni kazky, bajky, prytyczy ta anekdoty”, Dovira, Kyiv 1992

Nomys M.T. „Ukraiński pryslivja, prykazky i take insze”, Lybid', Kyiv 1993

Pazjak M. „Ukraiński pryslivja ta prykazky”, Naukova dumka, Kyiv 1984

„Pryslivja ta prykazky: Pryroda. Hospodarska dijajnist ljudyny”, Naukova Dumka, Kyiv 1989

„Romski prykazky” [w:] <http://www.romaniyag.uz.ua>

„Slovar ukrainskoji movy. Uporjadkuvav z dodatkom vlasnoho materialu Borys Hrinchenko”, Naukova Dumka, Kyiv, 1997

„Socialno-pobutova kazka”, Dnipro, Kyiv 1987

„Zolota v'eża: Ukraiński narodni kazky, lehendy, prytyczy, perekazy, zahadky ta prypovidky”, Karpaty, Użhorod, 1983



DIALOG

⊗ Soon in English for iPad...

Współpraca Fundacja OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS

